CZWARTEK

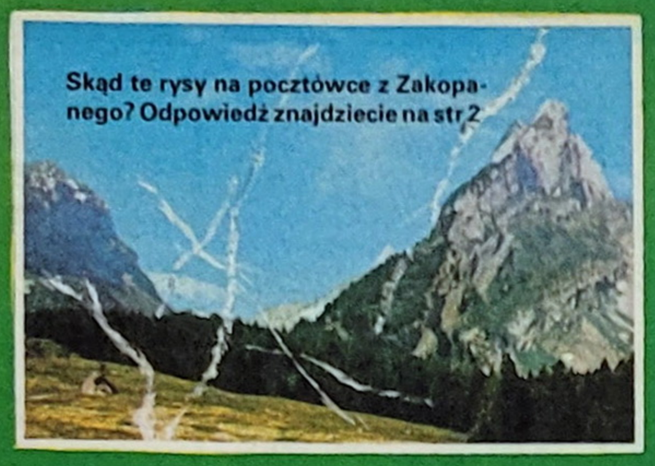

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

NR 42 7 KWIETNIA 1977 R CENA 1.50 ZŁ

Najstarsi z najmłodszymi

PŁONIAWY (HSI). W Komendzie płoniawskiego Hufca ZHP (woj. ostrołęckie) odbyła się niedawno uroczystość Przyrzeczenia Harcerskiego, w której uczestniczyli weterani ruchu robotniczego – byli członkowie PPR. Harcerze wręczyli starym działaczom wiązanki kwiatów, ci zaś przypięli nowo wstępującym do organizacji krzyże harcerskie. **(mh)**

SPOSÓB NA NUDĘ

RZESZÓW (HSI). Jeszcze nie tak dawno o tej drużynie mówiło się, że... nudy tu na pudy. I była to prawda. Teraz o 71 DH im. Emilii Plater przy Szkole Podstawowej nr 10 w Rzeszowie mówi się, że nie potrafi usiedzieć na miejscu. I to też prawda. Mają już na swym koncie udaną wycieczkę do Łańcuta, wieczornicę poezji radzieckiej, kilka zabaw i kominków, a także nawiązaną współpracę ze studenckim klubem jeździeckim. Z nastaniem wiosny drużyna porzuciła mury szkolne, miejscem zbiórek raz jest skwer, raz kino, kiedy indziej rezerwat leśny albo wspomniany już klub studencki. Odbył się wiosenny bieg patrolowy, a wszelkie informacje i polecenia przekazywane są w drużynie za pomocą własnego cyfrowo-obrazkowego szyfru. Cóż spowodowało taką metamorfozę? Po prostu: wystarczył jeden człowiek z inicjatywą – nowy drużynowy – i wszystkim od razu zaczęło się chcieć pracować.

Nina Opic

ZAPORA OCHRONI AŁMA ATĘ

ZSRR (PAP). Stolica Kazachstanu leży w rejonie aktywności sejsmicznej. Trzęsienia ziemi o sile 9 st., w/g 12-stopniowej skali, nie należą tam do rzadkości. Powodują one spływanie z gór potężnych potoków błotnisto-kamienistych. Zapora z kamieni, zbudowana przed trzema laty na uroczysku Medeo, uchroniła miasto przed uderzeniem takiego potoku. Ostatnio wzmocniono jej konstrukcję używając do tego celu 8 mln m^3 skał układanych po większej części przy pomocy sterowanych eksplozji.

Zapora może teraz zatrzymać 12 mln m^3 masy złożonej z błota i kamieni. **(mat)**

9,8,7,...2,1,0–STOP!

ZSRR (PAP). Zmienioną formę tradycyjnego „odliczania" przed startem rakiety od 9 do 0 zastosowali specjaliści radzieccy w nowym ulicznym sygnalizowaniu świetlnym. Oprócz trzech znanych świateł – czerwonego, żółtego i zielonego, sygnalizator wyposażono w świetlną tablicę, na której na 10 sekund przed zgaśnięciem lampy zielonej pojawiają się, co sekunda, cyfry od 9 do 0. Urządzenie to przechodzi próby na jednej z moskiewskich ulic. Gdy okaże się przydatne, uruchomiona zostanie seryjna produkcja i wejdzie ono do powszechnego użytku. Ale już w tej chwili wydaje się, że może ono odegrać poważną rolę w zwiększeniu bezpieczeństwa ruchu drogowego. Kierowca dojeżdżając do świateł nie będzie już zaskakiwany zgaśnięciem lampy zielonej i będzie mógł obliczyć, wiedząc ile pozostało mu sekund, czy zdąży jeszcze przejechać przez skrzyżowanie, czy powinien się zatrzymać. **(mh)**

„Nowe", tajemnicze miasto

KENIA (PAP). Do długiej listy miast, które „umarły" i zniknęły z mapy świata, archeolodzy dopisali nową pozycję. Na wyspie Mombasa leżącej na Oceanie Indyjskim, u południowo-wschodnich wybrzeży Kenii, odkryto ruiny zagadkowego, dużego miasta. Otoczone ono było murami z bloków koralowca. Wstępne badania przyniosły bogate znaleziska przedmiotów codziennego użytku i ceramiki. Naukowcy uważają, że miasto przeżywało rozkwit w XI i XII wieku. Nie udało się natomiast ustalić przyczyn zagłady grodu. Najprawdopodobniej jest to miasto o nazwie Mombasa, o którego istnieniu przetrwały do naszych czasów skąpe informacje, ale nic nie było wiadomo o jego położeniu. **(mh)**

W 36 n-rze „Świata Młodych" z 24 marca br. pisaliśmy o młodzieżowej karetce reanimacyjnej. Dziś podajemy konto na które możecie wpłacać uzyskane na ten cel pieniądze:

PKO III O/M W-wa
Nr 1531-2222-132

Centrum Zdrowia Dziecka
Karetka „R"

MUZEUM zielonego liścia

SZCZECINEK (PAP). Organizowane jest tu pierwsze w Polsce muzeum kultur leśnych. Oprócz ekspozycji obrazujących rozwój gospodarki leśnej oraz związki człowieka z lasem – zorganizowany zostanie nad jeziorem Trzesiecko pokaz urządzeń i maszyn leśnych. Muzeum szczecineckie posiadać będzie swą filię w miejscowości Warcino, w której znajduje się Technikum Leśne. Zgromadzone tu eksponaty służyć także będą uczniom w czasie zajęć praktycznych. **(mh)**

Sześć wolnych dni! To znowu nie tak dużo, ale i nie mało. Trochę czasu przeznaczę na wiosenne porządki. A co z resztą? Słońce coraz silniej grzeje. Na starym kasztanie przed domem rozwijają się pąki... Może namówię chłopaków i całym zastępem gdzieś pojedziemy. Podobno w tym skansenie koło Sanoka są stare chaty, w których dawniej mieszkali Łemkowie. Zresztą nawet jazda bez celu jest przyjemna... We włosach czujesz wiosenny wiatr, a przed tobą – bezkresna szosa.

Fot. **archiwum**

O tym warto wiedzieć:

Jedna godzina

W nocy z drugiego na trzeciego kwietnia przesunęliśmy wskazówki zegara z godziny 1.00 na godzinę 2.00. W naszym kraju w okresie letnim zaczął obowiązywać czas wschodnioeuropejski. Zmiana ta ma swoje uzasadnienie gospodarcze. W kwietniu wschód słońca następuje już w takiej porze, że nawet wstając o godzinę wcześniej nie musimy korzystać z oświetlenia elektrycznego. Wieczorem, dzięki jednogodzinnej różnicy, szczyt poboru energii elektrycznej podzielony zostaje na dwa etapy: pierwszy, gdy po powrocie z pracy i szkół rozpoczynamy różne czynności domowe i drugi, kiedy włączone zostają światła uliczne. To, że oba te okresy zwiększonego poboru prądu nie występują jednocześnie, przynosi spore oszczędności. W kwietniu wyniosą one ok. 500 MW, w czerwcu – 900 MW, we wrześniu – 300 MW. Dla porównania moc elektrowni w Kozienicach wynosi 1600 MW. Obliczono, że zmiana czasu przyniesie w ciągu roku oszczędności ok. 500 mln kilowatogodzin. Aby wyprodukować tę ilość energii, trzeba by było spalić 380 tys. ton węgla.

Zaoszczędzenie tej ilości paliwa to nie tylko korzyść dla energetyki. Węgiel będzie mógł być przeznaczony na dodatkowe zaopatrzenie ludności, przemysłu lub zostanie wyeksportowany. 500 mln kilowatogodzin jest to znaczna część naszej produkcji energii elektrycznej, która w tym roku wyniesie 112 mld kilowatogodzin.

Zmiana czasu umożliwi energetykom przeprowadzenie znacznie większej liczby remontów urządzeń w elektrowniach. W tym roku zaplanowano, że niezbędnej konserwacji podda się siłownie o mocy 3200 MW. Korzyści odniesie także każda rodzina, bowiem mniejsze zużycie prądu oznacza przecież mniejsze rachunki.

Do czasu zimowego (czas środkowoeuropejski) powrócimy we wrześniu – w nocy z 24 na 25.09, kiedy to wskazówki zegara cofniemy o jedną godzinę.

W Polsce po raz drugi wprowadzana zostaje okresowa zmiana czasu; poprzednio stosowana ona była w latach 1957 – 1964. Zgromadzone wówczas doświadczenia potwierdziły w praktyce słuszność dokonywania takiej operacji.

Nasz kraj nie jest jedynym, w którym wprowadza się zmianę czasu. W tym roku obowiązywać ona będzie także we Francji a prawdopodobnie także w Belgii, Holandii, RFN, Luksemburgu, Szwajcarii. (kp)

Cena cywilizacji

25 października. Rok 1899. Wielka gala. Tłum odświętnie ubranych dam i panów w melonikach. Przy dźwiękach orkiestry i szmerach zachwytu na stację wtacza się pociąg. Otwarta została linia kolejowa Kraków – Zakopane. Wówczas, niewielkie miasteczko, położone u stóp malowniczych Tatr, z otwartymi ramionami witało pierwszych gości. Nie nazywano ich jeszcze wtedy turystami i nikt z uczestników uroczystości sprzed 78 lat nie przypuszczał, że kiedykolwiek wczasowicze staną się dla Zakopanego aż takim problemem.

W istocie trudno było przewidzieć, że na 30-tysięczne miasteczko w roku 1977 runie ponad 3-milionowy tłum. I właściwie to nie jest jeszcze powód do zmartwienia. Naukowcy z krakowskiego oddziału Instytutu Kształtowania Środowiska analizując „turystyczną pojemność Tatr" obliczyli, że z liczbą 3 milionów rocznie gości Zakopane może sobie jeszcze poradzić. Wydawać by się mogło, że wszystko jest w porządku, problem Zakopanego nie istnieje. „Turystyczna nawała" usankcjonowana została ścisłym, naukowym rachunkiem. Skąd więc rozpaczliwe wezwania o ratunek dla miasta i gór?! Okazuje się, że owszem, kilkumilionowa rzesza turystów „zmieści się". Ale co z podstawową bazą umożliwiającą wykorzystanie czasu przeznaczonego na wypoczynek? Co np. z komunikacją, dla której, siłą rzeczy, trzeba byłoby zbudować rozległą sieć autostrad, dróg i parkingów? W kotlinie zakopiańskiej nie ma na to po prostu miejsca. Chyba, że wytnie się okoliczne lasy i wybetonuje pola, ale na to nikt przecież nie może się zgodzić.

Jak złowroga chmura

Kotlina, w której leży Zakopane, otoczona jest górami i naturalna wymiana powietrza jest tu niewielka. Atmosfera „wzbogacona" produktami XX-wiecznej cywilizacji – wszelkimi spalinami, dymami, pyłami, wisi nad miastem jak złowroga chmura! To pierwszy problem, bez rozwiązania którego „perła Tatr" zostanie „zaduszona" powietrzem – służącym niegdyś chorym jako najlepsze lekarstwo. Dziś sanatoria i prewentoria – zgodnie z uchwałą Rady Ministrów z 1972 roku w sprawie rozwoju Zakopanego – przeprowadza się w inne rejony kraju. Jest to konieczność. Ale jakże smutna w swej wymowie. Wspomniana uchwała wskazuje konieczność rozwiązania problemów tatrzańskiej stolicy. A co najważniejsze – uczula na nie centralne władze administracyjne, które tym samym obowiązane są udzielać jak największej pomocy władzom Zakopanego. Co więc zrobiono i jakie są plany na przyszłość?

Zlikwidowano już na przykład dymiące parowozy, zastępując je pociągami elektrycznymi. Pozostaje jeszcze sprawa samochodów. Do Zakopanego, poza wozami zaopatrującymi sklepy, nie powinny wjeżdżać żadne inne pojazdy. Proponuje się więc, po pierwsze – zbudowanie dwóch wielkich parkingów samochodowych w podzakopiańskich miejscowościach – Szaflarach i Podczerwonym. Stamtąd dojazd do miasta umożliwiłaby szybka kolej, z której korzystałaby zarówno ludność miejscowa, jak i turyści. Projekt przewiduje nawet stworzenie wspólnie z naszym słowackim sąsiadem trasy o długości 250 kilometrów. Wszystko to jest do zrealizowania. Nie każdy jednak projekt przyjmowany jest od razu i bez wahania. Wysunięto m. in. propozycję zmiany pojazdów spalinowych na komunikację trolejbusową. Spotkała się ona jednak z wyraźnym sprzeciwem władz miejskich – ludzi najlepiej znających specyfikę terenu. Na argumenty naukowców, skądinąd słuszne, że zmniejszono by w ten sposób zanieczyszczenia atmosfery itp. ojcowie miasta przypominali: wiejący wiatr halny niszczy wszystko na swojej drodze. Częste opady śniegu obrywać mogą sieć trakcyjną. Usuwanie skutków takich katastrof kosztowałoby wiele pieniędzy i ludzkiej pracy.

Intruz na Równi Krupowej

Niebezpieczeństw grożących Zakopanemu jest coraz więcej. Miasto rozbudowało się, działo się to jednak w sposób całkowicie żywiołowy, a często i bezmyślny. Lata pięćdziesiąte i początek sześćdziesiątych to okres żwany tu „czarnym". Budował każdy, kto chciał, jak chciał i gdzie mu było wygodnie. „Dzikie" budownictwo zniszczyło charakterystyczną architekturę tatrzańską. To raz. A dwa – bezlitośnie zabudowano zielone tereny, wycinano drzewa. Dziś, kiedy tego faktu odwrócić się już nie da, wiadomo, iż dla odzyskania ilości tlenu produkowanego przez kilkudziesięcioletnie drzewo trzeba posadzić 2 tysiące małych drzewek! Po to, by wrócić do stanu sprzed roku 1960, trzeba ich posadzić miliony! A jest to po prostu niemożliwe. Co więc robić? I znów – uchwała z 1972 roku – nie budować nic w całym Zakopanem. Zakopiańczycy potrzebują jednak mieszkań. Jeżeli będzie ich stale brakować, ludzie wyjadą w inne rejony, co stworzy olbrzymie problemy dla obsługi turystów. Jedynym słusznym rozwiązaniem jest więc projekt stworzenia osiedli satelitarnych wokół miasta. Taki plan już powstał. Przygotowuje się tereny pod budowę przyszłego osiedla dla 5 tysięcy mieszkańców, poza kotliną zakopiańską.

Dziwić się tylko należy, że mimo uchwały i mimo sprzeciwu władz miejskich 2 lata temu wybudowano duży hotel „Juwenturu" na Równi Krupowej, wielkiej polanie w samym środku miasta. Nawet nasi pradziadkowie – jak mówią zakopiańczycy – chronili zieleń na Równi. A jaki był stąd widok na Tatry! Tylko, że dziś dokładnie zasłania je gmaszysko „Juwenturu"!

Problemów tu, jak widać, nie brakuje. Jest problem funkcjonowania jedynej, wybudowanej jeszcze przed wojną, oczyszczalni ścieków, przeznaczonej na 7 tysięcy metrów sześciennych wody na dobę. Przepływa przez nią dziś 17 do 19 tysięcy. Istnieje też problem hałasu niszczącego miasto i przeczącego jakimkolwiek wyobrażeniom o miejscu przeznaczonym na wypoczynek. Do tego dochodzi cały kompleks spraw dotyczących tzw. infrastruktury – czyli barów szybkiej obsługi, sklepów – wszystkiego, co potrzebne jest przyjeżdżającemu tu turyście. Jest wszakże jeszcze coś, o czym wstyd wspominać. Sprawa kultury turystów przebywających w Tatrach NA OBSZARACH PARKU NARODOWEGO!

To trzeba zrozumieć

– Jeszcze może się uda! Będziemy robić wszystko, co w naszej mocy, by uratować miasto, by turyści mogli korzystać z gór, z niepowtarzalnego uroku Tatr – powiedział mi zastępca naczelnika miasta, Józef Sobański. I dodał ze smutkiem: – Gdyby ci, którym chcemy „przychylić" Tatr, zechcieli... I tu nastąpiły żale. Żal o to, że setki autokarów z wycieczkami przyjeżdża bez zapowiedzenia się. Nie ma dla nich miejsc noclegowych, a więc tułają się po mieście, koczują na ulicach. Przy niewielkim wysiłku, koordynacji i planowaniu każda wycieczka miałaby wszystko, co jest jej potrzebne.

Nikt nie lubi czekać na sygnał z Zakopanego: możecie przyjeżdżać, wszystko przygotowane. To jasne. Ale nie ma innego wyjścia. I chyba w najbliższej przyszłości – nie będzie! I to trzeba zrozumieć!

Zakopiańczycy nie chcą odpędzać i zniechęcać „ceprów" do przyjazdu i zwiedzania miasta i Tatr. Po prostu chcą je uchronić przed zniszczeniem, a góry przed rozdeptaniem. To powinno być oczywiste dla wszystkich. Także i dla tych, którzy być może już niedługo będą musieli wysiadać ze swych wygodnych samochodów na kilka kilometrów przed Zakopanem i przesiadać się w mniej może komfortową, ale za to „czystą" kolejkę dojazdową.

Być może te i inne jeszcze planowane posunięcia ochronne odsuną w przyszłość „zagładę" tatrzańskiej stolicy. Wydaje mi się jednak, że prawdziwy ratunek może przyjść tylko dzięki rozbudowaniu istniejących i tworzeniu nowych ośrodków turystyki górskiej i narciarstwa w mało znanych i pustych dotąd rejonach Gorc, Sudetów, Beskidów, Gór Świętokrzyskich. Na brak pięknych gór akurat w Polsce narzekać nie możemy!

EWA MIKO
Fot. **CAF**

Rysy na pocztówce z Zakopanego

DNI RADZIECKIEJ NAUKI I TECHNIKI · PRL 1977 ·

Od RWD do aerobusu

Tradycje polskiego przemysłu lotniczego są chlubne i bogate, sięgają bowiem lat dwudziestych. W tym czasie z biur konstrukcyjnych zaczęły wychodzić doskonałe na owe czasy samoloty serii RWD czy też słynne „petki". Na samolotach tych nasi lotnicy bili rekordy, zdobywali międzynarodowe nagrody. Szczyt powodzenia polskich lotników latających na rodzimych maszynach przypadł na początek lat trzydziestych. Wojna a następnie 5 lat okupacji, to przymusowa przerwa w działalności polskich biur konstrukcyjnych. W tym czasie dokonała się w lotnictwie prawdziwa rewolucja. Powstała nowa generacja maszyn z napędem odrzutowym. Samodzielne doganianie światowej czołówki praktycznie było niemożliwe. Skorzystaliśmy więc z pomocy Związku Radzieckiego, który dostarczył nam gotowych technologii. I tak zaczął się drugi etap naszego przemysłu lotniczego. Wytwarzając niektóre typy maszyn na licencji, spróbowaliśmy równocześnie stworzyć coś własnego. I udało się. Narodziła się „Iskra", odrzutowy samolot treningowy, a także lekkie konstrukcje, jak „Wilga" i „Gawron".

Kilka lat temu polski przemysł lotniczy otrzymał kolejny impuls, kolejne przyspieszenie. Rozpoczęliśmy partnerską współpracę z potężnym przemysłem radzieckim. W wyniku tego współdziałania powstała wspólna konstrukcja, dzieło polskich i radzieckich inżynierów – rolniczy samolot odrzutowy „M-15". W krótkim stosunkowo czasie staliśmy się jednym z największych w skali światowej eksporterów samolotów dla rolnictwa. Łączy się z tym druga polska specjalność – usługi agrolotnicze wykonywane przez naszych pilotów w różnych krajach świata, głównie na kontynencie afrykańskim.

W tej chwili przygotowujemy się do kolejnego przedsięwzięcia, które w porównaniu z poprzednimi będzie bez precedensu. Nasz radziecki partner uznał, iż polski przemysł lotniczy jest w stanie podjąć się nowych zadań, związanych ze wspólną produkcją wielkich odrzutowców IŁ-86 dla 350 pasażerów, zwanego popularnie aerobusem (pisaliśmy o tym samolocie w nr 8 „ŚM"). Według wstępnej umowy polskie zakłady lotnicze będą produkować dla aerobusu usterzenie, elementy mechanizacji skrzydeł oraz mechanizmy śrubowe. Dla laika określenia te nic właściwie nie mówią o skali przedsięwzięcia i związanymi z tym trudnościami technicznymi. Posłużę się więc porównaniem, które – mam nadzieję – powinno „przemówić" do wyobraźni. Otóż tylko sam „ogon" samolotu, a właśnie tę część będziemy m. in. produkować, będzie miał 11 m wysokości i 20 m szerokości. To mniej więcej tyle, co wielkość odrzutowego samolotu myśliwskiego.

Nie wielkość jednak jest tu najważniejsza. Daleko bardziej skomplikowanym i trudnym technicznie zadaniem będzie osiągnięcie przez nasz przemysł kolejnego programu wtajemniczenia – zupełnie nowej technologii wytwarzania. Nigdy dotąd nie uczestniczyliśmy w produkcji samolotów pasażerskich, a aerobus będzie nową generacją maszyn, również dla radzieckiego przemysłu. Przy projektowaniu zastosowano szereg nowatorskich rozwiązań technicznych, nowych materiałów konstrukcyjnych, lekkich, a jednocześnie bardzo wytrzymałych. Stopy duraluminiowe i tytanowe zwiększą swą wytrzymałość poprzez zastosowanie konstrukcji typu plaster miodu. Niektóre elementy będą łączone metodą klejenia, zupełnie u nas nie stosowaną. Trudno zresztą wymienić wszystkie nowe technologie, które będą musiały opanować zakłady w Mielcu, Świdniku i Kaliszu, aby wywiązać się z tego zadania na piątkę. W przemyśle lotniczym solidność, dokładność i precyzja są bowiem nieodzowne.

Podjęcie się współpartnerstwa tak skomplikowanej produkcji, stawia nasz przemysł w światowej czołówce. Ale jest jeszcze jeden pozytywny aspekt tego przedsięwzięcia – nowe technologie wytwarzania staną się wzorem postępu technicznego dla wielu innych gałęzi naszego przemysłu.

STANISŁAW TOMICKI

CO GODZINĘ 66 TON!

FOTOGRAFOWAŁ MICHAŁ ŻBIKOWSKI

Dokładnie cztery lata temu na pola między wsią Rozmierocha, a Strzélcami Opolskimi weszli geodeci, aby wytyczyć miejsca, w których stanąć miała olbrzymia cementownia. Potem przyjechały ogromne spychacze, wywrotki, koparki, zaczęli prace budowlani. Po czterdziestu miesiącach, a dokładnie po 1297 dniach z cementowni „Strzelce Opolskie" otrzymano pierwszy, doskonałej jakości cement. Było to iście rekordowe tempo. Dziś cementownia pracuje już pełną parą. Każdy z trzech olbrzymich pieców obrotowych o średnicy pięciu i pół metra, i długości 180 metrów daje ponad 66 ton klinkieru na godzinę. Pozwala to uzyskać 1630 tys. ton cementu w ciągu roku.

W tej nowoczesnej fabryce cementu pracuje ponad dwutysięczna załoga. Jednak ludzi prawie tu nie widać. Giną gdzieś pomiędzy masywnymi konstrukcjami młynów, silosów, zbiorników, wśród plątaniny rur i przewodów. Jedynie w dyspozytorni, sterowni i w centralnym laboratorium (to tu pracuje „na etacie" jedyny w cementowni komputer) są zawsze. Tu kończy się bowiem władanie maszyn. Tu decyduje już tylko człowiek.

Cementownia „Strzelce Opolskie" jest wspólnym dziełem radzieckich i polskich naukowców, i inżynierów. Maszyny i urządzenia, w których zainstalowano ponad 28 tys. ton, dostarczyła w dużej mierze fabryka urządzeń dla cementowni w Togliatti w Związku Radzieckim. Również sam montaż urządzeń odbywał się przy wydajnej pomocy specjalistów radzieckich, którzy zdobyli sobie w Strzelcach opinię doskonałych fachowców. **(mt)**

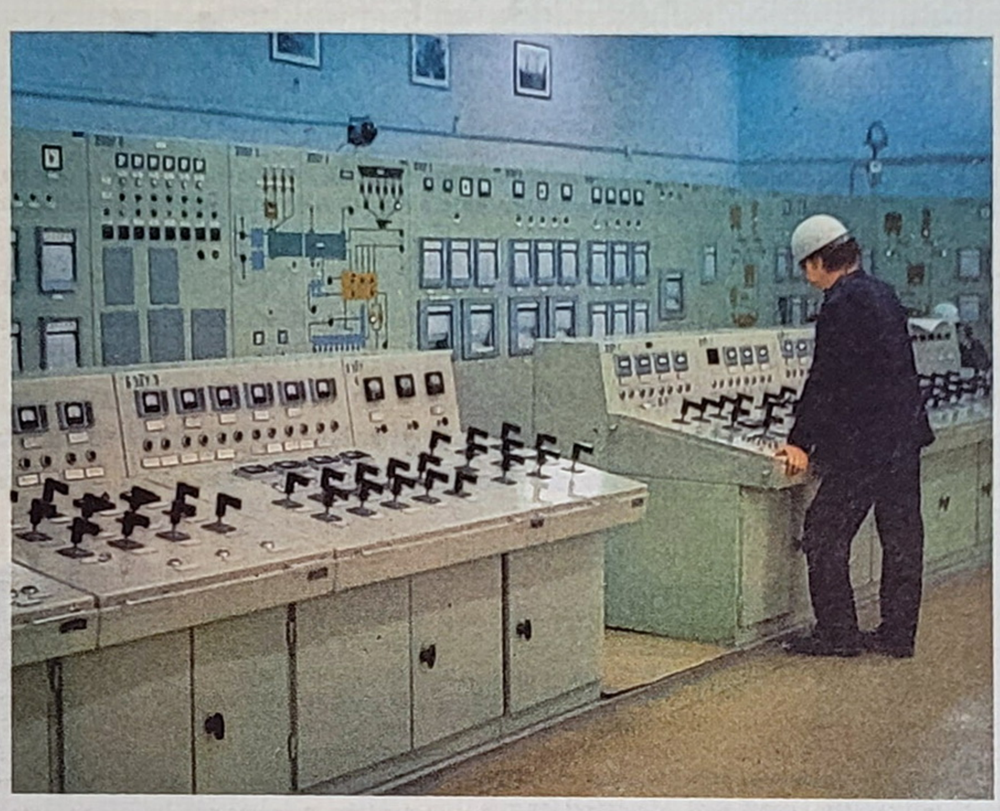

Od kilku tygodni jesteśmy świadkami kampanii antypolskiej w Republice Federalnej Niemiec. Prowadzą ją siły odwetowe, wywodzące się z ziomkostw przesiedleńczych, weteranów hitleryzmu i neohitlerowców. Siły te dotychczas nie zrezygnowały z miraży rewanżu za klęskę III Rzeszy i z odwrócenia skutków politycznych i geograficznych tej klęski.

W stwierdzeniu tym nie ma nic nowego, bowiem siły odwetowe w RFN prezentują niezmienne stanowisko niemal od chwili narodzin tego państwa. Nowa jest natomiast atmosfera polityczna, w jakiej trwa obecna kampania. Od kilku lat Polska i RFN podejmują próby normalizacji wzajemnych stosunków. Ukoronowaniem tego procesu była wizyta I Sekretarza KC PZPR, Edwarda Gierka w Bonn w ubiegłym roku oraz podpisane wówczas porozumienie.

Antypolska kampania wymierzona jest przede wszystkim właśnie w proces normalizacji. Niepokojące jest zwłaszcza to, że siły odwetowe uzyskały obecnie poparcie pewnej części działaczy politycznych, mających wpływ na oficjalną politykę RFN. Są to politycy z partii CDU i CSU. Partie te zajmują stanowisko zdecydowanie nacjonalistyczne i rewizjonistyczne. Po ostatnim zjeździe CDU można odnieść wrażenie, że partia ta pragnie w ogóle odejść od polityki normalizacji stosunków z krajami socjalistycznymi, w tym z Polską.

Pragnąc przekonać swoich członków i wyborców o słuszności takiej polityki oraz wywołać w społeczeństwie niemieckim nieufność do rządzącej koalicji partii SPD/FDP, prawicowi politycy wykorzystują do tych celów antypolską kampanię sił odwetowych.

SPRAWA, KTÓRA BUDZI NIEPOKÓJ

Kłamstwa Heinza Essera

Ta zmasowana kampania kłamstw i oszczerstw dotyczy rzekomych zbrodni ludobójstwa popełnionych przez Polaków na niemieckiej ludności cywilnej. Pretekstem do tych oskarżeń jest sprawa obozu w Łambinowicach. Mam przed sobą niewielką książeczkę, której już kilka wydań ukazało się w RFN – „dokumentację" owych polskich zbrodni zestawioną przez znanego odwetowca Heinza Essera. Książka jest niedostępna w normalnych księgarniach, nie wystawia się jej na międzynarodowych targach książki – właściciele i organizatorzy nie mają odwagi rozpowszechniać „dokumentacji". Ale trafia ona do licznych odbiorców innymi drogami.

Po zakończeniu wojny, na podstawie Układu Poczdamskiego, w granice Polski powróciły ziemie nad Odrą i Nysą. Równocześnie państwa koalicji antyhitlerowskiej przyznały naszemu krajowi prawo przesiedlenia zamieszkującej tam ludności niemieckiej. Z prawa tego Polska skorzystała w sposób głęboko humanitarny. W relacji autora odwetowej „dokumentacji" Łambinowice, które były punktem zbornym przesiedlanej ludności niemieckiej, są „polskim obozem zagłady". Heinz Esser wyliczył na podstawie zmyślonych przez siebie danych, że w latach 1945–46 zginęło tam ponad 6 tys. Niemców.

W „dokumentacji" Essera tylko dwa fakty są prawdziwe. Pierwszy, że internowani przejściowo w Łambinowicach Niemcy brali udział w ekshumacji dziesiątków tysięcy zwłok pomordowanych tam przez hitlerowców jeńców wojennych. Drugi, że uczestniczyli w gaszeniu pożaru, jaki ogarnął część baraków. Pożar powstał w wyniku podpalenia baraków przez dywersantów z Wehrwolfu. W ogniu zginęło kilkanaście osób. Bezpośrednimi sprawcami tych jedynych „ofiar" z Łambinowic byli sami naziści. Za zbrodnię przeciwko ludzkości uznał Esser fakt, że kobiety i mężczyźni niemieccy nosili wiadra z wodą i piaskiem do gaszenia ognia. Przecież w płonącym baraku było kilkudziesięciu ludzi. Gdyby nie szybkie ugaszenie pożaru, zginęliby wszyscy. Ciekawe, czy gdyby Heinz Esser był jednym z uratowanych, również uznałby tę walkę z ogniem za zbrodnię?

Tak wygląda prawda o rzekomych zbrodniach Polaków na Niemcach. Jest jednak jeszcze druga prawda o Łambinowicach. Tej jednak odwetowcy w rodzaju Heinza Essera wolą nie pamiętać.

Prawda o Łambinowicach

W Łambinowicach istniał obóz masowej zagłady. Zorganizowali go hitlerowcy już w 1939 r. Tutaj spędzono ze

Dokończenie na str. 4

Dokończenie ze str. 3

wszystkich frontów II wojny światowej wziętych do niewoli żołnierzy – początkowo tylko Polaków, potem także Anglików, Belgów, Francuzów, Jugosłowian i Rosjan, żyli oni w potwornych warunkach, stłoczeni po kilkuset w ciasnych, brudnych barakach lub w wygrzebanych w ziemi tzw. ziemiankach. Atakowani przez wszy, pozbawieni wody i żywności.

Kiedy tuż po wojnie specjalna komisja polsko-radziecka badała sprawę obozu jenieckiego w Łambinowicach, okazało się, że w masowych mogiłach spoczywa ponad 40 tys. jeńców. Większość z nich zginęła z głodu i wycieńczenia. Potem znaleziono jeszcze inne zbiorowe mogiły. Pełną liczbę ofiar hitlerowskiego obozu zagłady trudno jest ustalić, gdyż jeńców z Łambinowic wywożono do innych, niekiedy odległych miejscowości.

Hitlerowcy traktowali obóz w Łambinowicach jako źródło darmowej siły roboczej. Mieszkańcy pobliskich miejscowości często widzieli długie kolumny wynędzniałych, zmaltretowanych ludzi, pędzonych przez esesmanów jak zwierzęta. Szli oni do pracy w zakładach przemysłowych pracujących dla potrzeb Wehrmachtu i „Tysiącletniej Rzeszy" Hitlera. Wielu z nich ginęło z wyczerpania już w drodze. Inni umierali wyniszczeni nieludzkim niewolniczym wysiłkiem w tych zakładach. Po wojnie ustalono, że tylko w kopalniach zginęło przy niewolniczej pracy około 60 tys. jeńców radzieckich z Łambinowic.

SPRAWA, KTÓRA BUDZI NIEPOKÓJ

Tak wygląda druga prawda o Łambinowicach – obozie, który stał się zbiorową mogiłą tysięcy ludzi. Ich jedyną winą było to, że stanęli w obronie własnej ojczyzny napadniętej przez hitlerowskiego najeźdźcę.

Kto im to powie?

Niemiecka ludność cywilna wiele ucierpiała i doznała wielu krzywd w czasie wojny, zwłaszcza zaś w jej ostatnim okresie. Sprawcami tych cierpień nie byli jednak Polacy. Żołnierze polscy, maszerujący w ślad za cofającymi się oddziałami armii hitlerowskiej, pamiętają dobrze zniszczone i spalone wsie i miasta, nie tylko na ziemiach polskich czy białoruskich. Także na ziemiach wchodzących w skład Rzeszy. Zniszczenie tych tysięcy wsi i setek miast nie miało żadnego wojskowego uzasadnienia. Było rezultatem skrupulatnego wykonania hitlerowskiego planu ewakuacyjnego. Głosił on, że za cofającymi się oddziałami Wehrmachtu pozostać ma tylko martwa ziemia.

Ludność niemiecką z tych zniszczonych miejscowości oddziały hitlerowskie pędziły przed sobą w głąb Rzeszy. Przerażeni i sterroryzowani ludzie nie mieli nawet odwagi zaprotestować. Groziło to oskarżeniem o sianie defetyzmu przed sądem wojennym SS. A ten sąd wydawał tylko jeden wyrok – śmierć. Tuż przed ostateczną klęską hitlerowskiej Rzeszy nie należały do rzadkości masowe egzekucje ludności niemieckiej dokonywane przez samych nazistów. Wielu Niemców padło ofiarami takich egzekucji w oblężonym Wrocławiu.

O tych faktach w Republice Federalnej Niemiec nie pisze się książek i nie gromadzi się dokumentacji. Młodzież niemiecka w zdecydowanej większości nawet o nich nie wie. Młodzi ludzie w tym kraju dowiadują się ze swoich gazet, że wysiedlaliśmy po wojnie niemiecką ludność w „bydlęcych wagonach". Ale z gazet tych nie dowiedzą się, że były to te same wagony, którymi z Niemiec powracały do ojczyzny z wojennej poniewierki miliony Polaków, wywiezionych przez okupanta na przymusowe roboty. Nie dowiedzą się też, że w zrujnowanej wojną Polsce innych wagonów wtedy nie było. Czy z winy Polaków?

Zamiast tych faktów młodzież z RFN dowiaduje się z prasy odwetowej lub „dokumentacji" Heinza Essera o rzekomych polskich zbrodniach. W tej sprawie najsmutniejsze jest to, że na wymysły rozmaitych Esserów nie próbują odpowiedzieć sami Niemcy. Budzi to nie tylko smutek. Rodzi także uzasadniony niepokój.

KRZYSZTOF DOŃSKI

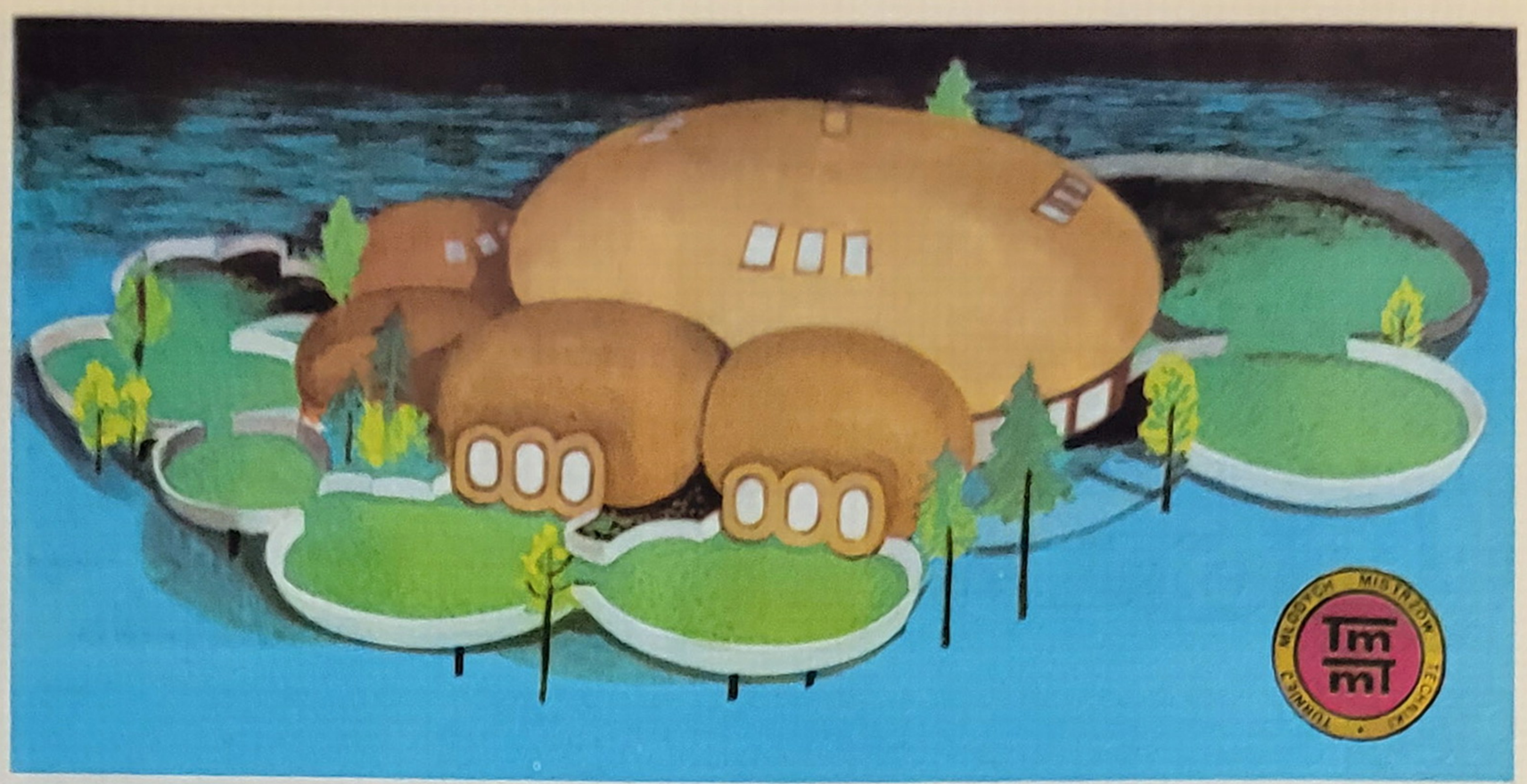

»W moim przedszkolu nie ma ani jednej ściany prostej. Ze środkowego, największego, okrągłego budynku, w którym zaczyna się i kończy każdy dzień przedszkolaka, przechodzić można swobodnie do czterech mniejszych umownie nazwanymi „klasami". Rys. M. Teodorczyk

Gromadka roześmianych dzieciaków z hałasem wypadła z jednej z sali zabaw, by za moment wypełnić inne pomieszczenia, a po chwili zniknąć znów w budowli przypominającej grzyby, a może pojazdy przyszłości?! Wędrowałam po wspaniałych salach, które oświetlone słońcem, rozedrgane śmiechem i tupotem małych nóg – przywodziły na myśl świat nierzeczywisty – świat z bajki wyjęty. Ocknęłam się i...

Gonić będę moje marzenia...

Złe schody, tato zbudowałeś!

Znajome ściany, sprzęty. Wpatrywałam się uparcie w mój rysunek, który jakby za sprawą czarów ożywił się. Stosy papieru, rulony kalek technicznych, dziesiątki szkiców, rzutów pionowych-poziomych i czort sam wie czego jeszcze, wypełniały mój świat. Ten już zupełnie prawdziwy i rzeczywisty.

– Czas się jednak przedstawić. **Nazywam się Krystyna Gajewska.** I choć należę do ludzi, którym szczęście dopisało, spełnienie marzeń jest jeszcze daleko przede mną. A snułam te moje marzenia, od kiedy pamiętam. Wcale nie twierdzę, że mając 5 lat, ciągnąc ojca za rękaw i prosząc go: chodźmy tato na ten nasz plac budowy – wiedziałam, że już zawsze przy budowie zostanę. Prosiłam ojca inżyniera – kierownika kolejnej budowy, by zabrał mnie do naszego domu, który wówczas nie tylko jeszcze nie istniał, ale nawet nie był zaprojektowany. Chciałam mieć swój własny plac budowy. Nie wystarczyło mi tylko opowiadanie ojca wracającego z zabłoconych, nieuporządkowanych budów, na których wyrastały nowe domy. To było po prostu fascynujące. Dla małej dziewczynki, odwiedzającej miejsca pracy ojca, czas, w którym z wielkim trudem, wśród błota i zdenerwowanych ludzi, powstawały ogromne bloki – skracał się jak w filmie. Rodzinną legendą stało się już to moje dziecinne zachwycenie „budowaniem". Ojciec nieraz żartuje, że dom ów, w którym mieszkamy – postawił dzięki nagabywaniu córki.

Setki razy wyobrażałam sobie wejście do naszego nowego domu na Antoniówce – jednej z dzielnic Białegostoku. Bo właśnie ja, a nie kto inny, miałam przewieźć wszystkie meble, pakunki, pakuneczki – cały rodzinny dobytek. Właśnie ja miałam otwierać drzwi wejściowe, a potem jeszcze wiele innych do tego własnego, zupełnie nowego świata. Stało się jednak inaczej. Przeprowadzka odbyła się beze mnie. W tym czasie siedziałam w klasie. Byłam tak wściekła, że... pierwsze moje słowa po wejściu do domu brzmiały: „jakie ty schody tato wybudowałeś?! Przecież na górę nie da się nic wnieść. Wąsko tu i stromo i ściany już poobijane". Pamiętam zaskoczoną minę ojca, który nie rozzłościł się wcale, a przyjrzał mi się tylko uważnie. Pewnie już wtedy zaświtało mu: oho! z ciebie moja córko chyba budowlaniec wyrośnie.

Wędrówka po nagrodę

Ojca mam surowego i dla siebie i dla innych. I naszą czwórkę (mam brata i dwie siostry) nie ominęły ostre reakcje na niewystarczająco mocną chęć do nauki. On zdobywał wiedzę pracując i często sama byłam świadkiem ogromnego wysiłku jaki wkładał, by być coraz lepszym w zawodzie. Powtarzał wciąż, i powtarza do dziś, że świat buduje się nie talentem i pracą, ale przede wszystkim pracą.

Nie chcę wcale nikogo przekonywać, że tylko wyłącznie pracą osiągnęłam, pierwszy i jak na razie jedyny, życiowy sukces. Dziś, kiedy porządkuję cudowne zdarzenia sprzed pół roku, jestem przede wszystkim zmęczona i nie tak znowu bardzo z siebie zadowolona. Bo tak z ręką na sercu, nie jestem pewna, czy na wyróżnienie mojego projektu w Ogólnopolskim Turnieju Młodych Mistrzów Techniki zapracowali nie bardziej niż ja, sami moi nauczyciele i koledzy. Nie, nie oznacza to wcale, że projekt ten nie jest moim dziełem, od początku do końca. Nawet sam pomysł przedszkola był związany tylko ze mną. Zapamiętanym obrazem ponurego, małego budynku, z którego niemal codziennie jak schwytane w klatkę zwierzątko próbowałam uciekać. Myślę, że nie ja jedna przyniosłam do Technikum Budowlanego podobne wspomnienia z dzieciństwa. Cała moja klasa opętana była jedną ideą: burzyć to co utarte i wymyślać wciąż coś nowego. Nie powtarzać innych! Zdawał sobie z tego sprawę nasz nauczyciel – docent Idzi Łukaszewicz, który powiedział nam: „na waszą studniówkę przyjdę, choć zwykle tego nie robię". I nie rozczarował się. Przeistaczanie sali szkolnej w kosmiczną przestrzeń z nieznanymi planetami: przestrzeń, w której każda forma i każdy kształt był dozwolony – to była pyszna zabawa. Pierwszy i chyba jeden z niewielu momentów w naszym życiu zawodowym, kiedy mogliśmy popuścić wodze naszej wyobraźni.

A potem, wiedzieliśmy wszystko o perypetiach i problemach związanych z pracami dyplomowymi każdego z nas. W szkole mówiono: piąta „a" to chyba najciekawsza klasa w dziejach szkoły. Byliśmy z tego dumni. Dlatego po raz pierwszy w Turnieju Młodych Mistrzów Techniki wzięły udział wysłane przez nasze technikum prace dyplomowe. Tak właśnie powstało moje „Przedszkole", które zaczęło wędrować, aż „wywędrowało" sobie nagrodę.

Bez drzwi zamkniętych...

Cały ten okres siedzenia nad projektem i dalszy – już po obronie dyplomu – wspominam jak sen. Raz cudowny, kiedy indziej pełen dramatycznych napięć. Weszłam w świat cudownej bajki, dziecięcego śmiechu, kolorowych wnętrz, w których mali ludzie nie napotykają na swej drodze żadnych niepotrzebnych przeszkód. Po skończeniu pracy zdumiona i zaskoczona byłam realną możliwością stworzenia miejsca, w którym nie byłoby żadnych „zamkniętych drzwi w zamkniętych ścianach". W moim przedszkolu nie ma ani jednej ściany prostej. Ze środkowego, największego, okrągłego budynku, w którym zaczyna się i kończy każdy dzień przedszkolaka, przechodzić można swobodnie do czterech mniejszych, umownie nazwanymi „klasami". Każda „klasa" urządzona jest inaczej, stosownie do zainteresowań.

Np. mogłoby to być tak: chcesz rysować, malować, wycinać, jednym słowem bawić się w plastyka, rzeźbiarza – biegniesz do budynku, gdzie wszystko, co jest do tego potrzebne czeka na ciebie. I możesz dotrzeć tam zewsząd, gdziekolwiek się znajdziesz. Przeznaczenie poszczególnych małych budynków zależy już od inwencji dorosłych.

Dzieci to przecież społeczność niezwykle różnorodna, a spontaniczność w poznawaniu świata potrzebuje przede wszystkim swobody – możliwości decydowania przez nich samych, jak wypełnić swój dzień. Pół roku rysowania, wykreślenia, niszczenia dziesiątków arkuszy kalek technicznych i wreszcie najtrudniejszy moment – makieta.

Początkowo próbowałam wykonać ją z gipsu. I ojciec, który nie wtrącał się w ten mój dyplomowy bałagan zrobił mi drewniane formy. Ileż drogocennego czasu straciłam na próby, ileż nerwów. Nie, nie zdążę! Nic nie wychodzi! I... skończyło się na zwykłych plastikowych miskach kupionych w sklepie z artykułami gospodarstwa domowego. One imitują na makiecie place zabaw. Same budynki zrobiłam ze styropianu zdobytego znów przez tatę. Ojciec ani razu nie zrobił żadnej uwagi. Chociaż, jak przyznał mi się po wszystkim, uważał, że to co robię jest ponad moje siły. A jednak...

Jestem studentką Wydziału Budownictwa Lądowego na Politechnice w Białymstoku. Dostałam się tu, dzięki wyróżnieniu mego projektu, bez egzaminów wstępnych. Ale wbrew pozorom zwycięstwa nie osiągnęłam. Chciałam studiować architekturę. A tam nie udało się mi zdać egzaminu z rysunku odręcznego. Wciąż jednak myślę o realizowaniu własnych pomysłów. Dlatego gonić będę moje marzenia dotąd, aż złapię je mocno i już na pewno nie wypuszczę.

Zanotowała: **MILENA HAYKOWSKA**

PRZEJAŻDŻKI PEGAZEM

Znaleziona jak 10 groszy

Dzisiejszą przejażdżkę poświęcam w całości wierszom Waszego kolegi Bogusława z Warszawy. Pobudziły mnie one bowiem do refleksji, którymi chcę się z Wami podzielić. Ale zacznijmy od wierszy...

BEZ CIEBIE

bez ciebie
żyję jakoś – znośnie
chlebem powszednim
wrzątkiem zalewam rozstanie
na poparzone palce
dmucham ostrożnie
bez ciebie
wyprowadzam siebie na spacer
z przyzwyczajenia lubię róże
i czekam psio pod drzwiami
kiedy zbliża się pora
bez ciebie
wcale nie jest nudno
odmierzam dni kupionymi
gazetami
przeglądając ogłoszenia
zgubiono – znaleziono

LOS

w kiosku „Ruchu"
na szarej tacce
leżą ludzkie losy
zawinięte w zielony papier
– nadziei
każdy może kupić sobie los
tylko jeden – za 10 złotych
rozwinąć
i przeczytać
dlaczego jednak
nikt nie dostrzega napisu:
LOSÓW NIE WYMIENIA SIĘ?

• • • • •

Poezja zaspokaja nasz głód piękna, czyni nasze życie lepszym i sensowniejszym. Ta oczywista prawda różnie jednak realizuje się w wierszach. Są takie, które ludziom znużonym jałowością i szarością codziennego życia przynoszą wielkie idee, ukazują piękno wyższe nad to, co ich otacza. Pozwalają wynieść się ponad potoczność... Są też i takie wiersze, które piękna uczą szukać wokół siebie. Które nadają rangę właśnie rzeczom potocznym i drobnym budując z nich własny świat, nazywając po swojemu to, co znane wszystkim, wydaje się nie warte słów poety. I takie są chyba wiersze Bogusława. Sam zresztą pisze w jednym z nich:

„liryka leży na ulicy
wystarczy ją podnieść
z codzienności otrzeć
znalezione 10 groszy
zabłyśnie na nowo"

W ten sposób też postępuje, gdy pisze wiersz o losach sprzedawanych w każdym kiosku „Ruchu". Dostępne wszystkim emocje za 10 złotych dla niego są czymś więcej. Ujawniając nasze odwieczne dążenie do szczęścia i związane z nim złudzenia, że wystarczy cud – „wielka wygrana", abyśmy nagle stali się innymi ludźmi, umieli cieszyć się życiem.

Aby odnaleźć piękno, trzeba być wrażliwym na wszystko, co nas otacza. Ale piękno odnajduje też poeta, nadając własne nazwy rzeczom, tworząc nowe określenia i skojarzenia słów, „zaklina w poezję" opisywaną przez siebie rzeczywistość. Nie zawsze udaje mu się to w całym wierszu. Jak Bogusławowi, w którego innym utworze – w całości „przegadanym" i chyba nie do końca prawdziwym – spotkałem przecież takie oto słowa: *„Spłowiałe plecy latarnie blaskiem przetrą."* Odnalazł w nich chyba i zawarł prawdziwą lirykę. Radzę więc szukać dalej i życzę powodzenia!

JULEK

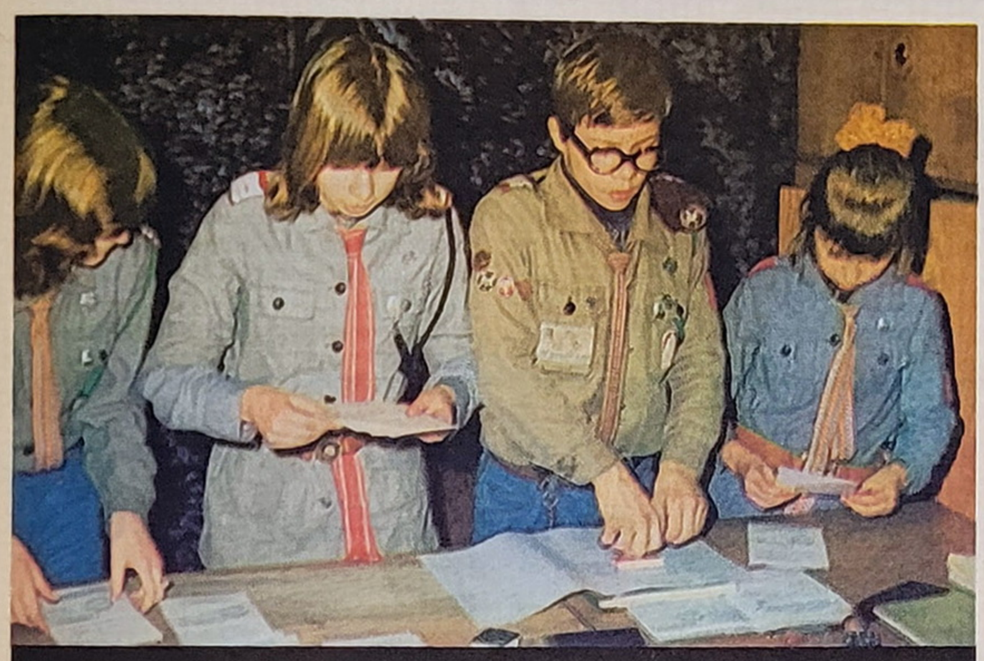

DORĘCZYĆ HARCERSKĄ POCZTĄ

Najpierw słychać szczekanie psa, potem powolne kroki i zgrzyt otwieranej zasuwy. Zza drzwi wychyla się głowa siwego pana. Na widok dwóch chłopców w harcerskich mundurach na jego twarzy pojawia się przyjazny uśmiech:

– Aaa, to wy! Macie coś dla mnie? Nie było was już chyba z tydzień.

Starszy z nich grzebie przez chwilę w pękatej torbie. – „Mamy dla pana polecony". Biała koperta wędruje do rąk adresata. „Proszę jeszcze pokwitować, o tutaj!" Młodszy podaje kopiowy ołówek.

– Wejdźcie, proszę! – starszy pan zaprasza gestem chłopców do mieszkania.

– Niestety, dzisiaj nie możemy. Mamy jeszcze dwa pilne zawiadomienia. Dobranoc!

– Służba nie drużba! – mruczy cicho staruszek i ze zrozumieniem kiwa głową.

Zaczęło się od filatelistycznej pasji druha Romana Wiszniowskiego, który z grupą harcerzy z drużyny Czerwonych Beretów założył w Osiedlowym Domu Kultury „Bronowice" w Lublinie klub kolekcjonerów znaczków i stempli pocztowych. Zbierali wówczas różne okolicznościowe pieczątki odbijane na kopertach i kartach pocztowych, nadruki i serie znaczków. Często zastanawiali się co zrobić, aby ich drużyna rozrosła się. Bo nie każdy przecież musi lubić zbieranie znaczków, są tacy, co wyżej cenią sobie ruch na świeżym powietrzu.

Cztery lata temu wpadli na pomysł, aby przed Dniem Kobiet życzenia rozsyłane mieszkańcom osiedla przez Ligę Kobiet opatrzyć własnym stemplem klubu kolekcjonera i samemu dostarczać je do mieszkań. Następnego dnia obradowali do późnej nocy nad tym, czy uda im się stworzyć własną harcerską pocztę. Bo pomysł wszystkim się spodobał.

Pierwsze o pomoc do Poczty Harcerskiej zwróciło się koło ZBoWiD. Co jakiś czas zarząd tego koła organizował zebrania swoich członków. Niestety, wysyłane zawiadomienia często trafiały do adresata już po fakcie. Harcerze wprowadzili wtedy stałe dyżury w swoim „pocztowym urzędzie". Wystarczyło tylko zadzwonić, a w zarządzie koła zjawiał się natychmiast łącznik, odbierał korespondencję i jeszcze tego samego dnia ostemplowane własną zieloną pieczątką koperty trafiały do rąk adresata. Później podjęli także współpracę z zarządem spółdzielni mieszkaniowej roznosząc zawiadomienia o zebraniach, imprezach kulturalnych itp.

W hufcu bardzo sobie cenią działalność harcerskiej poczty z „Bronowic". Przed rokiem komendant hufca, druh Kazimierz Kamieniecki, zaprosił „speców" od poczty na zimowisko do Poronina. Na specjalnym stoisku można było odebrać paczkę od mamy i wysłać do domu list z pieczątką „Zimowisko Hufca ZHP Lublin Miasto". Na tym zimowisku mieli pełne ręce roboty. Codziennie otrzymywali przeszło 300 listów od kolekcjonerów z całego kraju z prośbą o przystawienie okolicznościowego stempla. Był on podobno nie lada rarytasem.

W Poroninie współpracowali także z prawdziwym urzędem pocztowym. Roznosili wiele listów, nieraz nawet po kilka kilometrów. Kiedyś Jarkowi wypadło zanieść przesyłkę do położonej wysoko w górach góralskiej zagrody. Przez całą drogę padał śnieg. Droga pod górę była ciężka. Miejscami śnieżne zaspy dochodziły do metra grubości. Gdy dotarł na miejsce, gospodyni wyraźnie się ucieszyła:

– Aaa list, to pewnie od syna, przeczytam go później, ale gdyby druh pomógł mi odrzucić śnieg sprzed domu...

Pocztowcy muszą być przygotowani na wszystko. Po godzinie ścieżki były przetarte, a góralka poczęstowała Jarka obiadem i przeczytała list.

Dzisiaj Harcerska Poczta „Bronowice" posiada już swoją filię. W Liceum Ogólnokształcącym nr 7 wisi zielona skrzyneczka, do której można wrzucić list np. z pierwszym wyznaniem. Taka koperta opatrzona kolorowymi stemplami poczty na pewno się spodoba.

KRZYSZTOF NIEDŹWIECKI
Fot. **autora**

REDAKCYJNA POCZTA

Nie ma ładnych czy brzydkich imion!

List ten piszę po przeczytaniu wypowiedzi Mietki z 29 numeru „Świata Młodych". Zdziwiła mnie ona i zmartwiła. Mietka skarży się, że z powodu swojego imienia jest źle traktowana przez szkolnych kolegów. Według mnie nie ma ładnych czy brzydkich imion. Są tylko częściej lub rzadziej używane. Do tych ostatnich należy właśnie Twoje imię, Mietko, które nie wiadomo czemu stało się powodem kpin. Brzmi ono przecież ładnie i nie widzę powodu, byś przejmowała się szykanami kolegów, którzy są po prostu śmieszni i dziecinni. Jeśli nie będziesz zwracała uwagi na te docinki, z pewnością z czasem ustaną.

Jacek

Ja też nie jestem wysoka

Chcę zabrać głos w sprawie listu Haliny „Niski wzrost a samotność". Tak się złożyło, że ja także mam 15 lat i 150 cm wzrostu. Nie przejmuję się jednak tym, bo nikt mnie z tego powodu nie szykanuje. Jeśli któraś z koleżanek powie coś na temat mojego wzrostu, odpowiadam, że to nie sztuka nosić wysokie obcasy. Wspominasz, Halinko, o koszykówce. Wyobraź sobie, że w podstawówce grałam w reprezentacji klasy. Koleżanki i wychowawczyni wcale się temu nie dziwiły. Uważam, że nie powinnaś przejmować się swoim wzrostem. Jeśli jesteś fajną dziewczyną, to na pewno znajdziesz sobie wielu przyjaciół. Musisz być tylko „twarda" i nie załamywać się z byle przyczyny.

Halina

Kara zbyt surowa

Zdziwił mnie list „Bulwy" z 29 numeru „Świata Młodych", a właściwie kara, jaką wymierzył mu ojciec za opuszczenie lekcji. Wypisaniem syna z harcerstwa na pewno nie osiągnie się dobrych rezultatów wychowawczych. Jak wiadomo, organizacja ta wyrabia w młodych ludziach dyscyplinę, posłuszeństwo, odpowiedzialność, a więc same cechy pozytywne. Ojciec „Bulwy", nakazując mu wypisanie się z ZHP, nie tylko ukarał go zbyt surowo, ale również przyczynił się może do tego, że chłopiec mając dużo wolnego czasu spędzać go będzie niewłaściwie. Tymczasem „Bulwa" pali się wręcz do harcerstwa, gdzie pełni funkcję zastępowego i czuje się potrzebny. Wydaje mi się, że decyzja ojca powzięta była pod wpływem zdenerwowania, a więc nieprzemyślana. Powinna chyba ulec zmianie!

Jacek

Jolanta Gawdzik (kl. VI), ul. Morcinka 25/7, 58-500 Jelenia Góra, pragnie nawiązać korespondencję z rówieśnikami, którzy lubią czytać książki przygodowo-podróżnicze i fantastyczno-naukowe, zbierają słowa piosenek i zdjęcia aktorów, płyty zespołów młodzieżowych.

KALENDARZ PTAKOLUBA

Redaguje dr Maciej Luniak

KWIECIEŃ 1977

Fot. **T. Kłosowski**

Kwiecień jest okresem największego nasilenia wiosennych przylotów. Niemal codziennie pojawiają się gatunki, których dotychczas nie było, rozbrzmiewają nowe śpiewy. Wiele ptaków rozpoczyna już lęgi – na pewno większość skrzynek, które przygotowaliście, będzie już w tym miesiącu zajęta. Nie wszystkie jednak ptaki gnieżdżą się w zakrytych miejscach lęgowych. Wiele gatunków – na przykład pokrzewki, kos, drozd śpiewak, zaganiacz, gąsiorek, strzyżyk, makolągwa czy raniuszek budują gniazda otwarte w krzewach lub na drzewach. Wbrew temu, co mogłoby się nam wydawać, ptakom tym wcale nie jest łatwo znaleźć odpowiednio rozwidlone gałęzie, które dałyby dobrą, obejmującą podstawę do osadzenia gniazda, a również i osłonę dla niego. Możemy jednak przyjść im tu z pomocą, odpowiednio formując gałęzie. Teraz, w kwietniu, kiedy przycina się drzewa i krzewy w ogrodach, jest najlepsza pora, żeby przygotować miejsca lęgowe ptakom budującym gniazda otwarte.

Najlepszym miejscem do osadzenia gniazda jest rozchylony na boki „bukiet" gałązek wyrastających po przycięciu starszego pędu. Cięcia takiego trzeba dokonać tuż nad pierścieniem tzw. pączków śpiących, czyli zawiązków, z których rozwiną się na boki przyszłe pędy tworzące podstawę dla gniazda – **okółek gniazdowy** – taki jak na rys. 1. Pierścienie pączków śpią-

(dokończenie na odwrocie)

Zadawałam to pytanie wielu osobom, lecz żadna nie umiała mi na nie odpowiedzieć. Proszę, powiedz mi, czy jest polskie imię dziewczyny nie kończące się na a. Jeśli tak, to jakie? Przy okazji chciałabym wiedzieć, czy na końcu wyrazów: proszę i dziękuję wymawia się ę czy tylko e?

Rogata z Wałcza

1) Nie, nie ma takiego imienia – wszystkie kończą się na -a. U dawnych Polan imiona dziewczęce informowały o urodzie, usposobieniu i charakterze swych nosicielek. Były więc pierwotnie przymiotnikami rodzaju żeńskiego. A wiadomo, takie przymiotniki kończą się głoską -a. Dam przykłady: **Czarnucha, Czarnula, Brzęczka** (gadatliwa), **Zwinka, Kochna, Milejsza, Nieluba, Niemiła**. Import obcych imion zaczął się w Polsce już w XIII wieku. Chrześcijaństwo wniosło do zasobu imion nie tylko naszych, ale i innych ludów, stosunkowo bogaty zestaw imion m. in. hebrajskich, łacińskich, greckich. Wszystkie imiona żeńskie zapożyczone otrzymały na wzór imion rodzimych końcówkę -a, która jest zresztą właściwa wszystkim żeńskim imionom słowiańskim. 2) Ja **dziękuję** – on **dziękuje,** w obu wypadkach końcówkę możemy wymawiać jednakowo – czyli po prostu – **e**. Podobnie w wyrazie **proszę**.

Na lekcji języka polskiego robiliśmy rozbiór gramatyczny zdania: „Wczesnym rankiem wybrały się dzieci do lasu na grzyby". Powstał problem, czy wyraz rankiem to rzeczownik czy przysłówek. My uważamy, że jest rzeczownikiem, a pani, która uczy nas polskiego, że przysłówkiem. Napisz, kto ma rację.

Klasa VIIb

Powiedziałabym, że racja leży pośrodku. Niektóre przypadki rzeczowników używane są przysłówkowo – do nich należy nie tylko **rankiem,** ale również np. **wieczorem, czasem, w dali, miejscami.** Tak więc **rankiem** jest rzeczownikiem pełniącym funkcję przysłówka.

Na dzisiejszej lekcji uczyliśmy się o Tadeuszu Kościusz..., no właśnie: o Kościuszce czy o T. Kościuszko? 2) Jak brzmi miejscownik l. mn. wyrazu Rzymianie? 3) Na moim balkonie ustawiony jest karmnik dla ptaków. W karmniku jest pokarm. Ptaki lubią go dziobać czy dziubać? 4) Jak się nazywa mieszkanka Jamajki?

Andrzej Ślakowski z Jastrzębia

1) O Tadeuszu **Kościuszce.** Nazwisko to odmienia się jak rzeczownik żeński **łąka.** 2) Rozmawiamy o Rzymianinie, o **Rzymianach.** 3) **Dziobać.** 4) Mieszkanka **Jamajki** to **Jamajka,** a mieszkaniec – **Jamajczyk.**

Chciałbym wiedzieć, jak się mówi: 1) klarneta czy klarnetu? 2) dworzan czy dworzanów? 3) dla mnie czy mi? 4) Indian czy indianinów?

Wojtek z Białegostoku

1) Nie mam **klarnetu.** 2) **Dworzan.** 3) W Twoim regionie bardzo często mówi się np. daj to dla mnie, zamiast daj mi to. Należy unikać tego rusycyzmu. 4) Ten **Indianin,** ci **Indianie,** tych **Indian.** (Nazwę tę piszemy dużą literą)

Wasza mgr KROPKA

ŚWIAT NA CZTERECH KÓŁKACH

AMERICAN AUSTIN ROADSTER z 1933 ROKU

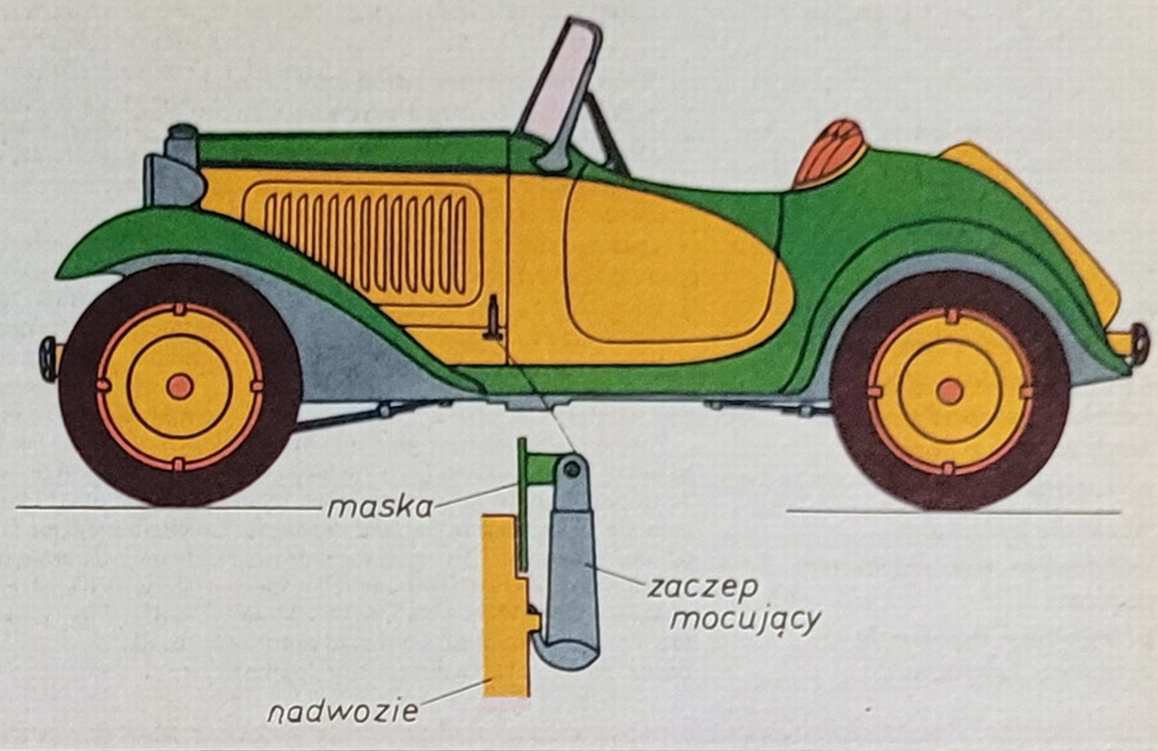

Przemysł motoryzacyjny Stanów Zjednoczonych należał i należy obecnie do najbardziej nowoczesnych na świecie. Wytwarza on bardzo dużo typów samochodów, z których wiele produkowanych jest na zasadzie licencji lub montażu na wszystkich kontynentach naszego globu. Dotychczas niewiele było przypadków, kiedy ten przemysł wykorzystywał technologie i wzory z innych państw. Do tych nielicznych zaliczyć należy podjęcie w roku 1930 przez wytwórnie American Austin produkcji małolitrażowego samochodu popularnego w oparciu o licencję angielskiego samochodu marki AUSTIN-7. Wytwórnia ta działała w latach 1930–1941.

Do roku 1934 pojazdy w niej wytwarzane oznaczane były marką AMERICAN AUSTIN, po tym czasie marką BANTAM.

Samochód przedstawiony na rysunku wyprodukowany został w roku 1933. W stosunku do angielskiego pierwowzoru AMERICAN AUSTIN ROADSTER wyróżniał się luksusowym wykończeniem nadwozia, dwukolorowym lakierem i kołami z pełnymi tarczami. Dwuosobowe nadwozie wyglądem przypominające samochód sportowy, posiadało odkrytą kabinę pasażerów z możliwością rozkładania lekkiego płóciennego dachu.

Wyposażony był w czterocylindrowy silnik o pojemności 750 cm sześc. o mocy 13 KM, chłodzony wodą. Umieszczony był on z przodu i napędzał koła tylne, między innymi za pośrednictwem jednotarczowego suchego sprzęgła i trzystopniowej skrzyni biegów.

AMERICAN AUSTIN posiadał ramowe podwozie, do którego za pośrednictwem półeliptycznych resorów z przodu i ćwierćeliptycznych resorów z tyłu zawieszone były sztywne osie wraz z kołami. Waga samochodu wynosiła 420 kg, a największa osiągana prędkość 70 km/godz.

Na licencji angielskiego AUSTINA-7, produkowane były także: BMW DIXI w Niemczech, ROSENGART we Francji oraz DATSUN w Japonii.

Większość samochodów z tego okresu posiadała zamykanie pokrywy silnika – popularnie zwanej maską, przy pomocy specjalnych zaczepów. Taki zaczep umieszczony był albo na dolnej krawędzi maski, lub przy krawędzi tej części nadwozia, do której przylegała bezpośrednio maska. Część zaopatrzona w haczyk utrzymywana była na mocnej sprężynie, za jej pośrednictwem następowało „trzymanie" się maski z nadwoziem.

Współczesne samochody mają maski zamykane przy pomocy specjalnych zamków, których otwieranie możliwe jest z wnętrza samochodu. Między innymi w ten sposób zabezpiecza się samochody przed możliwością dostępu do silnika osób niepowołanych. Zamknięcia maski przy pomocy zaczepów znajdujących się na zewnątrz samochodu stosowane są jeszcze w samochodach rajdowych. Zaczepy te wykonane są w całości z gumy. Ich stosowanie zwłaszcza w tego rodzaju samochodach gwarantuje dużą niezawodność połączenia.

ZENON DUTKIEWICZ

(dokończenie ze str. poprzedniej)

cych tworzą się na gałęziach co kilkanaście centymetrów – widać je jako okólne zgrubienia ciemniejsze od reszty kory. Gdy poniżej przycięcia wyrosną boczne pędy, trzeba w następnych latach tak je przycinać, żeby wnętrze okółka nie zarosło.

Z przycinania krzewów i gałęzi drzew rzadko osiąga się już w tym samym sezonie przydatne okółki. Można natomiast na poczekaniu tworzyć okółki sztuczne, związując luźnym drutem w miękkiej izolacji (żeby nie kaleczyć kory!) po kilka rosnących obok siebie gałęzi lub krzewów – jak na rys. 2. Powstały w ten sposób żywy bukiet ptaki zasiedlają równie chętnie jak naturalne okółki. Można też do rosnącej gałęzi, która daje dobrą osłonę, ale nie ma odpowiednich dla gniazda rozwidleń, dowiązać jedną lub kilka wyciętych gałęzi tak, żeby dały dobrą podstawę obejmującą gniazdo.

Ptaki chętnie wykorzystują na gniazda także zupełnie sztuczne „bukiety" (na rys. 3) lub „kieszenie" (na rys. 4), zrobione z gałęzi. Bardzo dobre są do tego gałęzie drzew szpilkowych (np. świerka), gdyż dają lepszą osłonę. Jeśli stosujemy gałęzie liściaste, to oczywiście muszą być ułożone odpowiednio gęsto. Do formowania takich „wiązanek" najlepiej nadają się gałęzie o długości około 1 metra. Są to oczywiście konstrukcje nietrwałe – starcza tylko na jeden sezon.

Zarówno naturalne, jak i sztuczne okółki lęgowe najchętniej są przez ptaki zasiedlane na wysokościach od 1 do 2,5 metra, ale niektóre gatunki np. zięba lub dzwoniec często gnieżdżą się wyżej. Przygotowując sztuczne miejsca lęgowe trzeba też pamiętać, że muszą być one umieszczone w miejscach bezpiecznych przed ludźmi i kotami.

Rys. **T. Kłosowski**

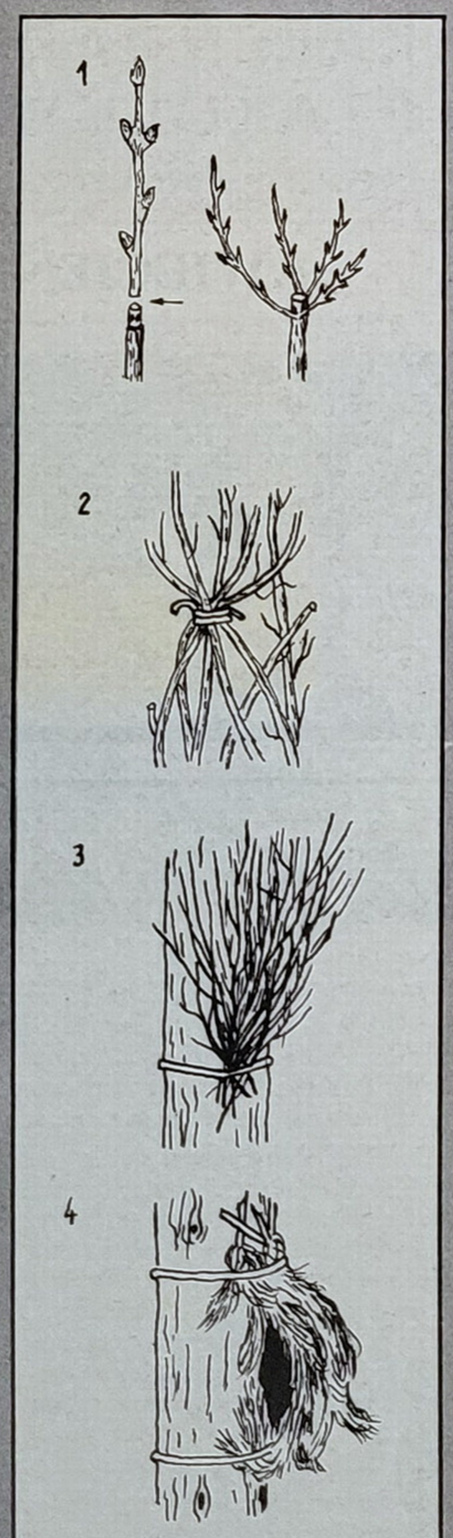

Z frontu walki o czystą wodę

Perforowana rura chroni jezioro przed zarastaniem

KRAKÓW (PAP). Płytkie zbiorniki szybko zarastają, a rozwijająca się roślinność zużywa tlen rozpuszczony w wodzie, wskutek czego gnijące na dnie resztki organiczne nadają wodzie nieprzyjemny zapach. Giną ryby, odlatuje ptactwo wodne, jezioro przekształca się w grzęzawisko. Mechaniczne oczyszczanie zbiorników przez wycinanie roślin przy pomocy kosiarek i kombajnów jest bardzo kosztowne. Chińskie ryby – amury – skutecznie przeciwdziałają zarastaniu zbiorników zamkniętych. Nową, rewelacyjną metodę polepszenia jakości wód w jeziorach przepływowych opracował rektor Politechniki Krakowskiej, prof. dr Bolesław Kordas. U wlotu wód do zbiornika montuje się poprzeczny rurociąg (ew. kilka równoległych ciągów) rur perforowanych w ich górnej części. Rurami tłoczy się powietrze, które wychodząc przez otwory utlenia wpływającą do jeziora strugę wody. Strumień ten dzięki dokładnemu wymieszaniu równomiernie rozchodzi się po całym zbiorniku. Fakt ten – oprócz natlenienia wody – ma duże znaczenie dla zbiorników, z których czerpie się wodę pitną. Urządzenie przeciwdziała bowiem koncentracji zanieczyszczeń i tworzeniu się tzw. prądów gęstościowych, tj. strumieni ścieków wprowadzonych do zbiornika. Przepływają one przezeń w prawie nie zmienionej postaci, gdyż nie mieszają się z sąsiednimi wodami. Prototyp pionierskiego „dziurawego rurociągu" prof. Kordasa zostanie wybudowany w zbiorniku w Dobczycach na Rabie. Urządzenie czuwać ma nad czystością wody pitnej dostarczanej stamtąd do Krakowa.

(mat)

TECHNIKUM I ZASADNICZA SZKOŁA BUDOWLANA ZJEDNOCZENIA BUDOWNICTWA PRZEMYSŁOWEGO „PÓŁNOC" w Gdańsku-Oliwie, ul. Lumumby 5, tel. 53-02-91 przyjmuje zapisy młodzieży do Zasadniczej Szkoły Budowlanej do klas pierwszych na rok szkolny 1977/78:

3-LETNI OKRES NAUCZANIA W ZAWODACH:

- monter instalacji przemysłowych i spawacz
- monter instalacji centralnego ogrzewania i spawacz
- monter instalacji wod.-kan. i gazowej

2-LETNI OKRES NAUCZANIA:

- monter instalacji wentylacyjno-klimatyzacyjnej

Uczniom zapewnia się dobre warunki socjalno-bytowe.

Absolwenci mają zapewnioną pracę w przedsiębiorstwie oraz możliwość kontynuowania nauki w 3-letnim technikum, wchodzącym w skład tej samej szkoły.

Warunkiem przyjęcia jest ukończenie szkoły podstawowej i złożenie następujących dokumentów:

- podanie
- życiorys
- świadectwo ukończenia szkoły podstawowej (do czasu otrzymania świadectwa wyciąg ocen za I okres 1976/77)
- wyciąg z aktu urodzenia (lub dowód osobisty rodziców) do wglądu
- świadectwo zdrowia oraz aktualne wyniki badań lekarskich (OB, morfologia, rtg płuc, mocz)
- zaświadczenie z pracy rodziców
- 3 fotografie

Bliższych informacji udziela sekretariat szkoły w godzinach 8–14, telefon 53-02-91.

K-72

DYREKCJA ZESPOŁU SZKÓŁ ROLNICZYCH w HENRYKOWIE (woj. wałbrzyskie) ogłasza zapisy do I klasy

5-letniego TECHNIKUM HODOWLI ROŚLIN I NASIENNICTWA na rok szkolny 1977/78

O przyjęcie ubiegać się mogą absolwenci klas VIII z terenu całego kraju, na zasadzie konkursu świadectw szkolnych.

Dla uczniów zamieszkałych poza terenem szkoły zapewnia się miejsce w internacie.

Podania o przyjęcie należy kierować pod adresem: Zespół Szkół Rolniczych, 57-210 Henryków, w terminie do dnia 15 maja br.

K-79

O komunikacji napisano i powiedziano niejedno, zarówno chwaląc ją, jak i krytykując (częściej jednak to drugie). Chciałbym znów poruszyć ten problem. Oto obserwacje poczynione na dworcu autobusowym w Zawierciu. Dojeżdżam do szkoły już półtora roku, a więc mam bogate doświadczenia.

Kiedy wejdzie się na teren dworca, uderza ton pani zapowiadającej autobusy. Bardziej wrażliwi mogą się poczuć niepotrzebnymi robaczkami, którym Przedsiębiorstwo Komunikacji Samochodowej wyrządza niezasłużoną łaskę. Przybity pasażer będzie oczekiwał na autobus nawet godzinę, wierząc, że w ten sposób musi odpokutować decyzję przyjścia na dworzec.

Łaskawa panienka z okienka nieraz zapowiada autobusy przed ich przyjazdem i wtedy pasażerowie wykonują intensywną

REPORTER Świata Młodych

LUDZIE DLA AUTO-BUSÓW...?

rozgrzewkę. Dlaczego? Ci zaawansowani wiedzą, że teraz nastąpi najtrudniejszy moment: bieg z przeszkodami, ciężarami, w połączeniu z boksem i wolną amerykanką. Okazuje się bowiem, że autobus zapowiedziany na stanowisko czwarte zajechał na siódme. Ludzie podnieceni tym widokiem oraz półgodzinnym oczekiwaniem rzucają się na autobus (efekt uboczny – oczyszczenie karoserii). W rezultacie często urywają się drzwi. Droga otwarta. Teraz się przewracają, kopią, biją, gubią pakunki i buty. Biada temu człowiekowi, który nieopatrznie znalazł się w pobliżu autobusu. Zostaje wepchnięty przez tłum bez nadziei wyjścia. Kiedy już połowa ludzi wsiądzie, znudzony widowiskiem kierowca rusza nagle i rozpoczyna się część akrobatyczna: skoki w biegu do niemiłosiernie zapchanego wozu i zamykanie drzwi (o ile nie są urwane). Drzwi mają to do siebie, że się je bardzo trudno zamyka, tym bardziej że pozycja pasażerów uniemożliwia jakikolwiek ruch.

Ale wróćmy jeszcze raz na dworzec autobusowy. Często zdarza się i tak, że na stanowisko podjeżdża nie zapowiedziany autobus (bez tabliczki). Szybko zbiera się przed nim zdezorientowany tłum. Pełni nadziei ludzie zaciskają kciuki: „może to ten?" Potem... chwila ogromnego napięcia. Konduktorka raczyła wstać i ukazać tabliczkę; wtedy ryk zawodu albo sytuacja taka, jak opisana powyżej (patrz od miejsca: „ludzie rzucają się..." itd.).

Warto jeszcze wspomnieć, że wszelkie próby reformy nie dały rezultatów. Obsługa bowiem postępuje według zasady: ludzie dla autobusu. A może byłoby lepiej: autobus dla ludzi?

ZBIGNIEW BIAŁAS, Zawiercie
Członek Ligi Reporterów nr 13

Redaguje Włodzimierz Lewiński

Cześć!

Tomek Mościcki, którego przyjmuję do Rzepklubu, proponuje nową zabawę w zestawianie ogólnopolskiej listy nazw instytucji zaczynających się na sylabę „POL". Tomek rozpoczyna listę:

POLONIA, POLSPORT, POLIMEX, POLTEL, POLFA, POLSPING, POLLENA, POLMOS, POLMOT, POLDROB.

Kto znajdzie jeszcze jakąś nazwę na „POL" niech mi ją szybko przyśle (na kartce pocztowej).

* * *

Pozdrawiam serdecznie moją „Trzynastkę" *(imienia Rzepa)* ze Starego Bystrego. Dziękuję za list! Ucałowania dla pani Jarosz! Piszcie!!!

* * *

Wiosna, więc jak było do przewidzenia, Amorek ma pełne ręce roboty, a jego redakcyjny sekretarzyk jest dosłownie zawalony stertą listów. Część korespondencji wkładamy od razu do nieprzemakalnych worków, ponieważ niektóre listy ociekają łzami rozpaczy, inne zaś łzami szczęścia i w redakcji zaczynało już być zbyt wilgotno. Oddaję teraz głos koledze Amorkowi, który wypowie się na temat Waszych sercowych kłopotów.

Kochani! Z zawartych w Waszych listach zwierzeń wyłaniają się trzy grupy korespondentów:

Pierwsza grupa pisze: *Amorku, oszaleję ze szczęścia! Zakochałem (am) się... Co robić?!...*

Druga grupa: *Amorku, oszaleję z rozpaczy! Odszedł (odeszła) bez słowa. Tonę we łzach... Co robić?!...*

Trzecia grupa: *Amorku, oszaleję z nudów. Nikt na mnie nie zwraca uwagi. Życie jest szare i beznadziejne... Co robić?!...*

C o r o b i ć ? ! Myślałem nad tym dwa dni. Niewiele wymyśliłem, ale jeśli wszystkim zagraża s z a l e ń s t w o, to może spróbujcie przeczekać. Choćby do lata!

Pa, Amorek

KĄCIK POSZUKIWAŃ

Uwaga, Beata ZARZYCKA. Już trzeci rok czeka na Twój list Witek Kaczor. 50-547 Wrocław ul. Kamienna 90/4.

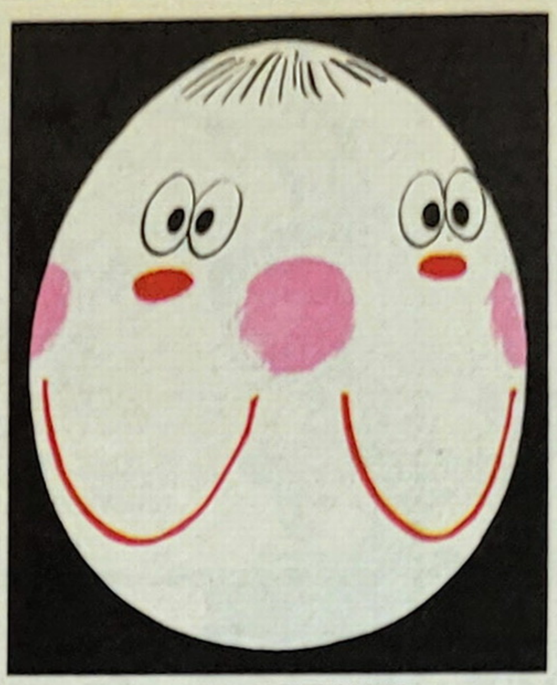

PISANKA ROZWESELAJĄCA

Wśród innych, kolorowych pisanek na Waszym świątecznym stole powinna, moim zdaniem, znaleźć się także choćby jedna p i s a n k a r o z w e s e l a j ą c a . Należy wykonać ją metodą „Światowida" (na cztery strony świata). Życzymy Wam Wesołych Świąt!

Rzepinka, Rzep, Śmieszek, Krasnoludek.

— Stale ci wychodzi jakiś brunet...

RZEPKLUB

Przyjmuję do klubu kolejnych moich „dostawców humoru": Ewę Gdowiok, Joasię Kamienik, Małgosię Karczewicz i Jacka Walczaka. Obok zamieszczam nadesłane przez nich żarty.

Oj, to chyba nie Giżycko

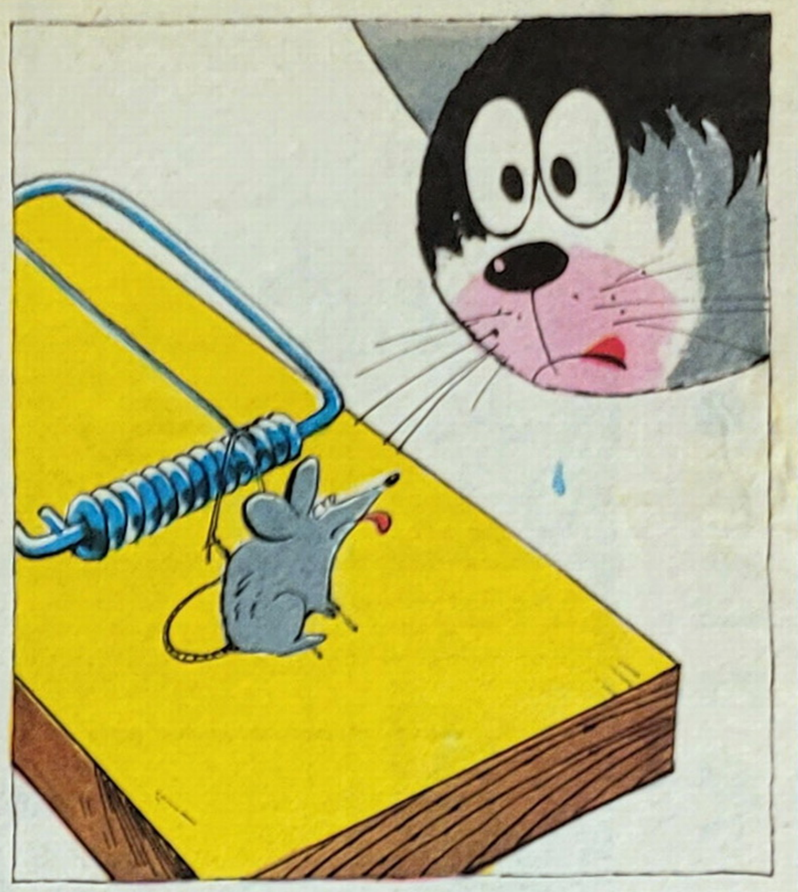

— A widzisz, mówiłam ci, że jest przeciąg.

dawna spał. A taką miał ochotę zapytać go jeszcze o jakieś szczegóły. Ale właściwie nie było o co specjalnie pytać. Z opowiadania Adżymurata wynikało, że ta nieznośna Myrzagul-Bijkecz w ogóle nie rozmawiała z nim na przerwach, udawała, że o niczym nie wie i że nic nie pamięta. Jakby nie było żadnego listu. Stoi sobie, zagadana z koleżankami, a jego Adżymurata – nie dostrzega póki sam nie podejdzie, nie pociągnie jej za rękę.

Sułtanmurat nie rozumiał, co by to miało znaczyć. Jeśli Myrzagul wcale nie chce go znać, czemu nie daje odpowiedzi, czemu nie powie o tym zwyczajnie? Dlaczego milczy, czyżby nie rozumiała, jakie męczące, jakie ciężkie jest czekanie na odpowiedź?

Z takimi myślami zasypiał, a rano, rozpoczynając dzień, znowu o tym myślał. I już nie miał czasu na czekanie. Śniegu szybko ubywało. Tylko patrzeć, jak zniknie zmarzlina, ziemia ożyje, tylko patrzeć, kiedy pierwsza bruzda legnie na polu, a wtedy już trzeba się spieszyć...

Pewnego dnia Sułtanmurat poprosił brata!

– Powiedz jej, że wkrótce wyjadę na Aksaj, wyjadę na długo...

Odpowiedź dziewczyny była zwięzła:

– Wiem – i nic więcej.

Gubił się w domysłach. Nieraz chciał pobiec do szkoły, zaczekać na przerwę, zobaczyć Myrzagul i osobiście zapytać, co to właściwie ma znaczyć. Ale nie mógł się zdecydować. Wszystko, co dotąd wydawało mu się najprostsze w świecie, teraz stało się prawie nie do pokonania. Obawa, onieśmielenie, wstyd i wątpliwości, niczym zmienna pogoda w górach, wstrząsały jego sercem.

Zresztą nie mógł też rzucić pracy. A było jej co niemiara. Jak widać, niezbyt łatwo być dowódcą desantu. W dalszym ciągu od rana do wieczora praca, tylko praca, a im bliższy był termin wyjazdu na Aksaj, tym więcej gromadziło się różnych kłopotów.

Nadchodząca wiosna nie tylko jednak przysporzyła kłopotów, ale też dodawała uroku ich życiu, urozmaicała je, ożywiała. U wodopoju czuło się już wiosnę, było jakoś raźniej, swobodniej. Lód zniknął jak dym. Na nowo widoczna rzeczka wesoło płynęła, kotłowała się na kamienistym dnie. Każdy kamień migotał światłem i cieniem w bystrym zielonkawym strumieniu. Konie wbiegały na środek rzeki i rozbryzgiwały wodę kopytami. A chłopcy konno także z rozpędu wpadali w tę gromadę. Śmiech, wykrzyki – woda jeszcze była zimna – harmider.

Właśnie w takiej chwili, będąc u wodopoju, Sułtanmurat zobaczył swoją Myrzagul. Zobaczył ją, gdy po kamieniach przechodziła przez rzeczkę, i zdrętwiał. Ale niby dlaczego zdrętwiał? Myrzagul nie była sama. Szły we cztery. Wracały ze szkoły. Mógłby ich nawet nie zobaczyć. Czy to mało osób chodzi tą drogą, przeskakując po kamieniach przez wodę. Ale akurat miał takie szczęście! Spojrzał przypadkiem i zdrętwiał, przytrzymał Czabdara na miejscu, od razu ją dostrzegł. Szła po kamieniach i też go zobaczyła, przechodząc zachwiała się, utrzymała jednak równowagę balansując rękami, a na brzegu stanęła, spojrzała w jego stronę.

Odchodząc z koleżankami oglądała się kilkakrotnie. Za każdym razem, gdy się odwracała, gotów był biec, lecieć za nią, za wymarzonym szczęściem, i natychmiast otwarcie, śmiało powiedzieć, jak ją kocha. I że bez niej życie nie może być życiem. Ale za każdym razem brakowało mu odwagi, za każdym razem, gdy się odwracała w jego stronę – umierał i wracał do życia. Już znikła z oczu u wylotu ulicy Aralskiej; konie już się napiły i wyszły na brzeg, a on wciąż trzymał Czabdara pośrodku rzeczki. Chłopcy spędzali konie, żeby razem wrócić na podwórze stajenne, a Sułtanmurat nie ruszał się z miejsca, udając, że jeszcze poi swojego Czabdara...

Gdy później rozmyślał nad tym, sam się dziwił, klął w duchu, że wcześniej nie przyszło mu do głowy zobaczyć ją, spotkać na tej drodze, którą wracała ze szkoły. Tam, tam na kamieniach ułożonych przez rzeczkę zawsze można się spotkać niby przypadkiem. Jak mógł wcześniej nie wpaść na to? Oczywiście, że powinien coś zrobić, zobaczyć się z nią i zapytać, co myśli o jego liście.

Zorientował się, że takie spotkania mogły być w każdy pierwszy lepszy dzień, gdyby przypędzili konie do wodopoju trochę później niż zwykle. Przykro mu było na myśl, że zawsze, kiedy wracali z końmi do wodopoju, prawie zawsze tuż koło nich przechodziła Myrzagul, a on się nie domyślił takiego głupstwa. Dręczy się, męczy, a przecież wszystko jest proste...

Teraz postanowił się jej doczekać. Nazajutrz zatrzymał się dłużej nad rzeczką, powiedział chłopcom, że zaraz wróci, tylko jeszcze porządnie przegoni Czabdara i poprosił, żeby tymczasem przypilnowali jego koni, uwiązali je na właściwych miejscach, zadali obroku.

I znowu ten Anataj!

Nie spieszył się z powrotem od wodopoju i zatrzymywał innych.

Cdn.

7

TYTUS, Romek i A'TOMEK

TEKST I RYSUNKI PAPCIO-CHMIEL

ŚWIAT MŁODYCH

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa; ADRES ODDZIAŁU: al. 3 Maja 7, 40-096 Katowice.

UKAZUJE SIĘ WE WTORKI, CZWARTKI I SOBOTY

REDAGUJE KOLEGIUM: Stanisław Borowiecki, Jerzy Dąbrowski, Anna Grzybowiecka, Maria Jaworska, Ewa Klosiewicz, Jerzy Kowalkowski, JERZY MAJKA (redaktor naczelny), Kazimierz Pasek, Ryszard Ratajczyk, Mieczysław Teodorczyk, Barbara Tylicka, Marzena Wierzcholska.

TELEFONY:

Red. naczelny	21-15-61
Sekr. redakcji	28-25-48
Dział Łączności z Czytelnikami	28-56-18

Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca.

WYDAWCA – RSW „Prasa-Książka-Ruch" Młodzieżowa Agencja Wydawnicza 00-564 Warszawa, ul. Koszykowa 6 A Telefony: Dyrektor 28-09-73, Dział Wydawniczy 29-35-52. Prenumerata krajowa: miesięczna 19,50 zł, kwartalna 58,50 zł, półroczna 117 zł, roczna 234 zł. Od instytucji i szkół z miast wojewódzkich i gmin prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe oddziały i delegatury RSW „Prasa-Książka-Ruch" w terminie do 25 listopada na rok następny. Od instytucji, szkół, w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów i delegatur RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz od wszystkich prenumeratorów indywidualnych prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe urzędy pocztowo-telekomunikacyjne oraz listonosze w terminie do 10 dnia miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty.

Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę, która jest o 50% drozsza od prenumeraty krajowej, przejmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch", Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto PKO nr 1531-71 w terminach dla prenumeraty krajowej. Nr indeksu 35046.

Opracowanie graficzne

Mieczysław Teodorczyk

Redakcja techniczna

Henryka Żochowska

Zam. 1954/G F-72

DRUK: Zakłady Graficzne „Dom Słowa Polskiego", Warszawa

NIE ZAPOMNIJ OTO NASZ 00-561 POCZTOWY

Sułtanmurat zastanawiał się, w jaki sposób ulżyć matce. Zupełnie się zamorduje. Doi i karmi krowy na fermie, w domu nie ma ani chwili odpoczynku. Wszystko musi robić sama, wszystko sama. Rozpalić ogień, gotować, prać. Dziewczynki jeszcze są małe. W czym może pomóc Adżymurat! A on sam teraz już zupełnie odcięty od domu, lada dzień wyruszy na Aksaj i kto wie, kiedy wróci. Ile tam trzeba zaorać, zabronować... A oni mają tylko pięć roboczych zaprzęgów. Pozostałe konie i pługi będą pracowały na dawnych polach. Tu jest jeszcze więcej do zrobienia, o wiele więcej. Ale przynajmniej w pobliżu aułu. W razie czego kobiety mogą stanąć przy pługach. To nie jest praca dla kobiet, ale teraz kobiety przecież kopią aryki głębokie do pasa i odprowadzają wodę na pola, i budują tamy...

Co zrobić, jak ulżyć matce? I jednak nic mu nie przyszło do głowy...

Ale przede wszystkim myślał o tym, że jutro przekaże list, tylko jeszcze musi tam dopisać słowa z pieśni „Akkepter". Próbował wyobrazić sobie Myrzagul czytającą jego list i to, co przy tym pomyśli. Och, jakże trudno pisać list o miłości! Wychodzi właściwie całkiem nie to, co się chce powiedzieć, żaden papier nie może pomieścić w sobie tego, co jest w sercu. Ciekawe, co też Myrzagul powie? Musi odpisać. Bo jakże inaczej? W jaki sposób odpowie mu, zgadza się, czy nie zgadza, żeby ją kochał? To właśnie pytanie. A co będzie, jeśli Myrzagul nie zechce, żeby Sułtanmurat ją kochał? Co wtedy?

Wąwóz Tukuj-Dżar dawno już pozostał za nimi. Zachodzące słońce świeciło teraz z przodu i z boku, oświetlało jedną stronę twarzy. Ziemia zachowywała wciąż ten sam spokój zimy i dostojeństwo. Jak zazwyczaj bywa przed burzą – spokój, ukojenie, cisza – żeby to

wszystko w mgnieniu oka strącić, zbić, zmieszać – zdruzgotać na drobny mak. W takich razach należy szepnąć! „Dla dobra, dla spokoju" – powiedział, żeby zażegnać złe moce. Czasem to pomaga. „Dla dobra, dla spokoju" – powiedział sobie w duchu Sułtanmurat, wypatrując dogodne miejsce na pierwszy postój.

Powinno się wybierać miejsce pagórkowate, żeby po odpoczynku łatwiej było wstać. Jeśli ktoś jest objuczony wiązką suszu, najpierw musi się rozkołysać leżąc na plecach, ale tylko trochę, bo wiązka może się przetoczyć przez głowę i tragarz rozciągnie się jak żaba. Potem trzeba uklęknąć, potem stanąć na jednej nodze, następnie na drugiej i wreszcie wymawiając zaklęcie „o, pirim!" – wyprostować się, na ile pozwoli ciężar. Ale najprościej jest odpoczywać padając śmiało na wznak.

Sułtanmurat w ten sposób upadł na swoją wiązkę i na chwilę zmrużył oczy. Ach, jak przyjemnie było rozluźnić sznury na piersi! Leżał, rozkosznie odpoczywał, wyobrażając już sobie, gdzie będzie następny postój. Odpoczywając po ciężkim marszu potrafił myśleć jedynie o niej.

Tylko odpowiedz prędko na mój list, słyszysz? – szepnął bezgłośnie i uśmiechnął się w duchu. Nasłuchiwał.

Ogromna, wspaniała cisza spoczęła na ziemi w jasnym niepostrzeżenie mroczniejącym przedwieczorze.

Zbliżał się ten dzień...

Pełne niepokoju, męczące czekanie na odpowiedź od Myrzagul nie opuszczało go przez cały dzień, póki już nocą, śmiertelnie zmęczony, nia zapadał w głęboki sen... Myślał o tym cały czas, niezależnie od tego, czym się zajmował, co robił. Pracował, wyjaśniał coś, dowodził swoim desantem, a w skrytości ducha tylko czekał, kiedy wreszcie Adżymurat przybiegnie do stajni, kiedy przyniesie ze szkoły długo oczekiwaną odpowiedź. Miał z bratem nawet swoje umowne sygnały. Jeśli Myrzagul dała odpowiedź, to Adżymurat ma biec w podskokach, wymachując rękami, krok-skok, jeśli nie – to nie biec, ale iść i trzymać ręce w kieszeniach.

Sułtanmurat wciąż spoglądał w stronę szkoły. Ale dzień w dzień brat przychodził z rękami w kieszeniach. Sułtanmurat martwił się, dziwił. Tracił cierpliwość. Dowiadywał się, wypytywał Adżymurata po wiele razy, co mu powiedziała, kiedy się z nią spotkał, kiedy do niej podszedł i jak wyglądała rozmowa. Gdy wracał do domu, brat już od

Dokończenie na str. 7